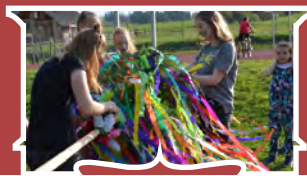
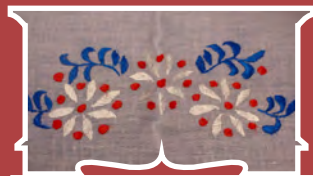


Skarby Górali

Poznaj Górala spoza Podhala



Skarby Górali

Poznaj Górala spoza Podhala



Skarby
Górali

Kraków 2020

Wyd. Fundacja Mapa Pasji, Kraków 2020

Redakcja merytoryczna: Anna Jarzębska

Redakcja i korekta tekstu: Adam Jarzębski

Projekt graficzny: Mariusz Front

Projekt okładki i strony tytułowej: Beata Sochacka

Książka powstała w ramach projektu „Odkrywanie skarbów dziedzictwa południowej Małopolski”, realizowanego przez Klub Sportowy „Bór”, w partnerstwie z Fundacją Mapa Pasji, Gminnym Ośrodkiem Kultury w Łącku, Miejsko-Gminnym Ośrodkiem Kultury w Piwnicznej-Zdroju, Babiogórskim Centrum Kultury w Zawoi i Muzeum – Orawskim Parkiem Etnograficznym w Zubrzycy Górnej. Projekt współfinansowano z Funduszy Europejskich w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Małopolskiego na lata 2014-2020.

ISBN: 978-83-956959-1-9

Spis treści

Skarby Górali spoza Podhala 7

Górale Biali 8

O sadach, sokach i śliwowicy.

Rozmowa z Krzysztofem Maurerem, twórcą Tłoczni Maurer z Zarzecza, *Magdalena Ślabaszewska* 10

Na łąckiej ubocy, *fot. Łukasz Setlak* 11

Z szopką..., *Łukasz Setlak* 16

Muzyka łączy pokolenia, *fot. Gabriela Matusiewicz* 17

Nakrywej mamusiu, wesele idzie, *Klaudia Jawor* 22

Wesele łąckie, *fot. Łukasz Szelec* 23

Zapomniane w poezji, *Grzegorz Setlak* 28

Artyści ziemi łąckiej, *fot. Kuba Mrówka* 29

Górale Nadpopradzcy 34

Kazali mi paść owce..., *Katarzyna Tomasiak* 36

...baranki cały dzień, *fot. Emila Buczek* 37

Za śtyry niedziele wesele się ściele..., *Aleksandra Rzeźnik* 42

Do góry, do góry ty konisiu bury przebiyrej nózkami pomiędzy górkami, *fot. Katarzyna Dominik* 44

Raz na ludowo, czyli chodoki gromy, *Maciej Skalik* 48

Instrumenty z duszą, *fot. Agnieszka Fabiś* 49

Piwniczańskie wyplatanki, *fot. Kinga Polakiewicz* 56

Górale Pienińscy 58

Godła Szalayowskie w Szczawnicy, *Weronika Błażusiak* 60

Godła Szalayowskie, *fot. Weronika Marciszewska* 61

Perła Pienin – tradycja trzech pokoleń, *Gabriela Kacik* 64

Skarb Flisaka, *fot. Julia Salamon* 65

O Krośnickich przydomkach i innych historiach, *Julia Oleksy* 70

Bacówka, *fot. Marcelina Staszewska* 71

Górale Spiscy 76

Spiskie wesele 45 lat temu, *Julia Molitorys* 78

Twórczość niedziczanki Kamili, *fot. Gabiela Stanek* 79

Zwyczaje związane z chrztem dziecka w Kacwinie, *Anna Tomasz* 82

Spiskie Misterium, *fot. Magdalena Nowobilska* 83

Zapomniane łąpszańskie zwyki, *Mikołaj Kowalczyk* 88

Chodzenie z koniem, *fot. Elżbieta Łukuś* 89

Górale spoza Podhala (mapa) 94

Górale Orawscy 96

Dzień na Orawie 60 lat temu, *Katarzyna Smoleń* 98

Na Orawie..., *fot. Katarzyna Flaszczyńska* 99

Lipnickie moje, *Ewelina Węgrzyn* 104

Lipnicki moj – stawianie i ścinanie orawskiego moja, *fot. Katarzyna Ponicka* 105

Dawne tradycje, zwyczaje i obrzędy wielkanocne na Orawie, *Klaudia Nowak* 110

Dawne rzemiosło orawskie - snycerstwo, ceramika i rzeźba w glinie, *fot. Xymena Smreczak* 114

Górale Babiogórscy 116

Na przekór czasom i ludziom wbrew..., *Kamil Kozina* 118

Święcone, *fot. Karina Trzebuniak* 122

„Dopięte na ostatni guzik” – babiogórski strój regionalny, *Zuzanna Zajęc* 124

Zespół Juzyna, *fot. Michał Sośnicki* 125

W świecie beczek, *Julia Janik* 130

Bednarz, *fot. Michał Sośnicki* 131

Górale Zagórzanie 136

Czarnoksiężnik z Pasma Jaworzyny, *Klaudia Mirczak* 138

Konkurs palm w Rabce-Zdroju, *fot. Emilia Klęsk* 139

Ulica Garncarska, *Joanna Koziół* 142

Ujęcia z filmu pt. „Rzeźbiarz”, *realizacja: Julia Bucka* 144

Ujęcia z filmu pt. „Kolędowanie z Zagórzanami”, *realizacja: Laura Ceklarz, Dawid Śmieszek* 146

Demonologia ludowa, *Klaudia Kusy* 148

Demony, *fot. Natalia Klęsk* 149

Górale Kliszczacy 152

Józef Wrona - Świątkarz spod Urbaniej Góry, *Zuzanna Jędrocha* 154

Urbania Góra, *fot. Andrzej Gwiżdż* 155

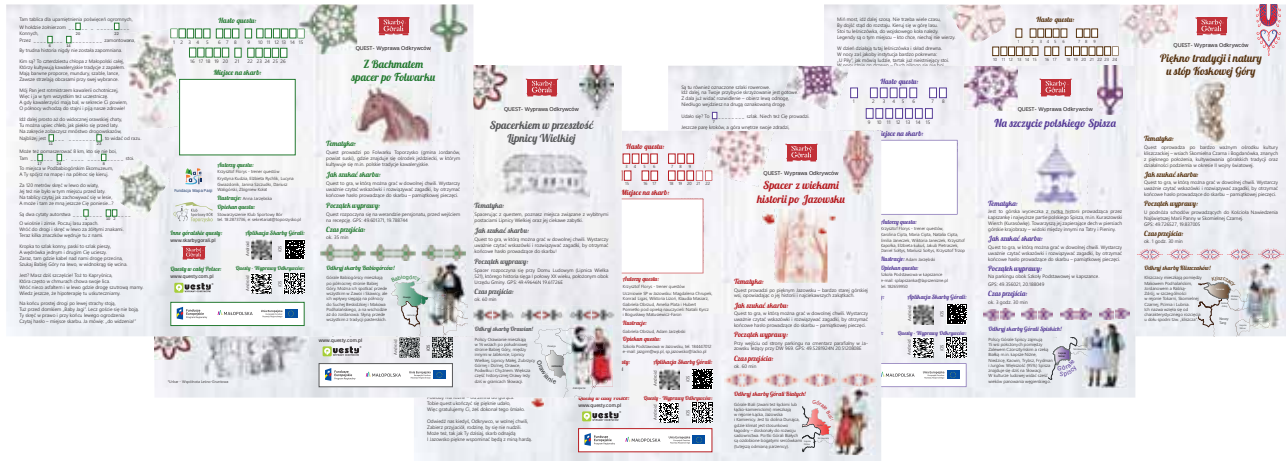
Tradycja pokoleń. Niedziela Palmowa w Tokarni, *fot. Joanna Zięba* 157

W blasku fleszy, czyli o kulisach powstawania płyty „Kliszczacki folk”, *Katarzyna Słonina* 160

Odkryj Beskid Wyspowy, *fot. Joanna Makusek* 164

Piękno odtworzone, *Zuzanna Korabik* 166

Odkryj góralskie skarby! Ruszaj na Questy - Wyprawy Odkrywców



Skarby Górali spoza Podhala

Góraliszczynna kojarzy nam się niezmiennie z Podhalem i Zakopanem, tymczasem w górzystych rejonach południowej Małopolski możemy spotkać jeszcze osiem innych grup górali, z których każda ma swoje tradycje, stroje, pieśni, gwarę, legendy, tańce i postacie. Niematerialne dziedzictwo południowej Małopolski jest niezwykle bogate i różnorodne, ale wciąż mało znane. Postawiliśmy sobie cel, by nie tylko je udokumentować, ale także opowiedzieć o nim w sposób przystępny i ciekawy. Dlatego właśnie do tworzenia tej opowieści zaangażowaliśmy przede wszystkim miejscową młodzież, lokalne ośrodki kultury, szkoły i stowarzyszenia. Jednym słowem tych, którzy tę kulturę dziś tworzą i będą ją przekazywać dalej. Tych, którzy z dumą mogą powiedzieć: „jestem stąd!”.

Książka składa się z ośmiu z rozdziałów. Każdy z nich poświęcony jest jednej grupie: Góralom Białym, Nadpopradzkim, Spiskim, Pienińskim, Babiogórskim, Orawskim, a także Zagórzanom i Kliszczakom. W środku znajduje się mapa przedstawiająca umowne rejony ich zamieszkiwania. Na początku każdego rozdziału umieściliśmy zaś krótką charakterystykę każdej grupy. Główną treścią książki są wywiady, reportaże literackie i fotoreportaże przygotowane w większości przez miejscową młodzież, prezentujące najbardziej charakterystyczne dla danego rejonu tradycje, postacie, rzemiosło, sztukę czy też obrzędy. To najciekawsze spośród blisko 160 prac młodzieży powstałych w wyniku warsztatów dziennikarskich i fotograficzno-filmowych, zrealizowanych w latach 2017-2019. Nie jest to z pewnością zbiór kompletny, nie ma on też charakteru naukowego. To raczej opowieść, którą chcemy zainspirować do dalszego odkrywania tych jakże wyjątkowych zakątków Małopolski.

Odkrywać je można na wiele sposobów. Zachęcamy również do wyjazdu w teren i poznawania z bliska ciekawych miejsc i ludzi poprzez **Questy – Wyprawy Odkrywców**: kilkadziesiąt edukacyjnych gier terenowych z zagadkami i skarbem na końcu, z których można bezpłatnie skorzystać w dowolnej chwili – wystarczy ulotka questu lub smartfon z **aplikacją mobilną Skarby Górali**, dostępną dla systemu Android i iOS. Więcej informacji – zarówno wiele dodatkowych tekstów i zdjęć, ulotki questów do pobrania, jak również wyniki badań etnograficznych prowadzonych w regionie – można znaleźć na stronie www.skarbygorali.pl.

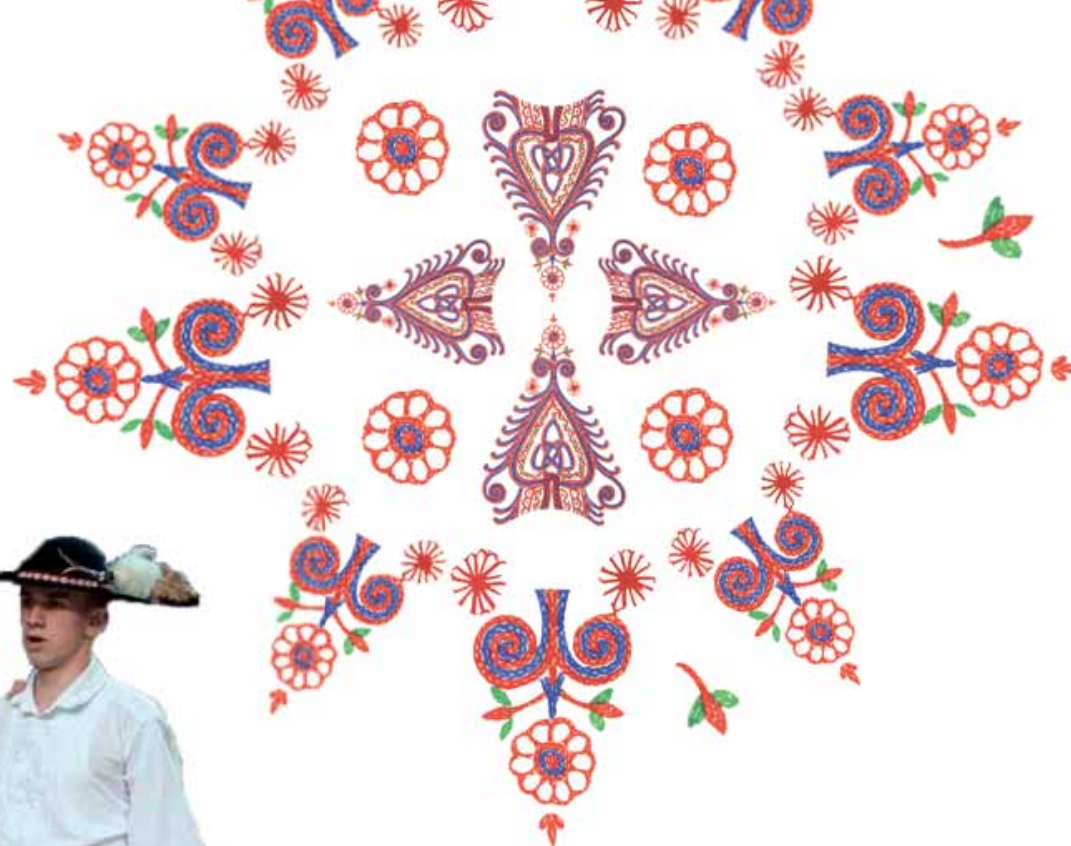


Pobierz aplikację mobilną Skarby Górali



www.skarbygorali.pl





Górale Biali



Górale Biali (zwani też Łąckimi lub Łącko-Kamienickimi) mieszkają w rejonie Łącka, Jazowskiej i Kamienicy. Jest to dolina Dunajca, która charakteryzuje się stosunkowo łagodnym klimatem – doskonałym do rozwoju sadownictwa. Portki Górali Białych są ozdobione bogatymi sercówkami (tutejszą odmianą parzenicy).

Tereny te słyną z doskonałych jabłek i śliwek oraz oczywiście ich przetworów – nie tylko soków i powideł, ale przede wszystkim znanej w całej Polsce łąckiej śliwownicy. By zobaczyć więcej, warto tu przyjechać wiosną na Święto Kwitnącej Jabłoni lub jesienią na Owocobranie.

O sadach, sokach i śliwowicy.

Rozmowa z Krzysztofem Maurerem, twórcą Tłoczni Maurer z Zarzecza

Magdalena Stabaszewska

Krzysztof Maurer to mieszkaniec Zarzecza w Gminie Łącko. Jest jedynym producentem legalnej śliwowicy łąckiej. Wytwarza również inne napoje alkoholowe, a także soki owocowe i warzywne, od których zaczął swoją drogę, a które można nabyć w wielu punktach rozmieszczonych nie tylko na terenach Gminy Łącko ale w całej Polsce. Soki Maurera, produkowane z ekologicznych owoców i warzyw, rozeszły się po świecie w bardzo szybkim tempie. W ostatnich latach pomógł niewątpliwie Internet. Etykiety na wszystkich przetworach noszą jego nazwisko.

Pan Krzysztof rozpoczął tę produkcję od niewielkiej ręcznej prasy do tłoczenia soków owocowych, a aktualnie ma jedną z najnowocześniejszych i najlepiej wyposażonych tłoczni, w której zatrudnia kilka osób. Gospodarstwo sadownicze przejął po swoim ojcu w 2002 roku i rozpoczął mozolne budowanie własnej pozycji na rynku, a także własnej marki. Oczywiście jego dzieci, żona oraz reszta rodziny pomagają mu i wspierają go we wszystkich działaniach. Pan Krzysztof ma wiele pomysłów na dalsze rozwijanie swojej tłoczni.

Od kiedy pana rodzina zajmuje się sadownictwem?

Od kilku pokoleń. Sadami zajmował się już mój dziadek, ojciec, a teraz robię to ja. Wcześniej gospodarstwo było wielokierunkowe. Część to były uprawy sadownicze, a resztę stanowiła hodowla bydła, bo takie tradycje były w regionie. Można powiedzieć, że od urodzenia wychowany byłem w sadzie [uśmiecha się], ponieważ moją mamę prosto z sadu wzięli na porodówkę. Tak się zaczęła moja przygoda z sadownictwem, a w następnej kolejności z przetworami z tych upraw.

Produkcja soków jest tradycją rodzinną? Czy zostało to zapoczątkowane przez pana?

Na większą skalę zacząłem się tym zajmować w 2002 roku. Na początku myślałem, że to będzie taka działalność przy gospodarstwie, tak zwana sprzedaż bezpośrednia przetworzonych produktów. W 2003 roku musiałem zarejestrować działalność pod nazwą PPUH Tłocznia Maurer i od tego czasu tłoczmy soki na większą skalę. Wcześniej soki były wytwarzane przez moich przodków tylko na własną potrzebę.

Co było inspiracją do zwiększenia skali produkcji?

Było kilka czynników. Między innymi taki, że w młodości odwiedzaliśmy zaprzyjaźnioną gminę Puch w Austrii. Tam obserwowałem, jak oni wytwarzają soki i sprzedają je turystom oraz miejscowym. Zauważyłem wtedy, że był to bardzo dobry interes. Drugi podwód jest taki, że w latach 2000-2004 na naszym terenie był problem z owocami, ponieważ wszystkie owoce, które były na jabłoniach, opadły niedojrzałe. To jeszcze bardziej mnie mobilizowało, żeby przetwarzać i produkować soki. Zacząłem od kapusty szatkowanej, wtedy odniosłem pierwszy sukces. Dlatego pomyślałem, że z sokami też się może udać. No i, jak widać, są tego efekty.

Na łąckiej ubocy

fotografie: Łukasz Setlak





Dzisiaj pana soki są powszechnie znane. Jak pan do tego doszedł?

Były momenty zawahania. Najbardziej przełomowymi latami były 2005 i 2006. Myślałem wtedy, że zrezygnuję z tej produkcji, bo nie mogłem nikogo zachęcić do moich soków. Dopiero wyjazd na targi do Niemiec pozwolił mi na nawiązanie kontaktów handlowych z sieciami sklepików ekologicznych i przedstawicielami handlowymi z Polski. Podsumowując, trzeba było jechać do Niemiec, żeby zaistnieć i nabrać chęci do produkcji. Bo sztuką było nie wytwarzać, ale sprzedać to komuś i dalej rozprowadzać.

Jak wygląda cały proces produkcji, od samego początku?

Zaczyna się od przyjmowania towarów, po czym następuje mycie owoców i warzyw, przebieranie, tłoczenie, wstępna filtracja i na sam koniec pasteryzacja. Na tym to wszystko polega. Trzeba by było to widzieć, jak się tłoczy i wszystko po kolei wykonuje, bo słowami nie da się tego do końca opisać.

Jak długo trwa proces wytwarzania soków?

Niedługo. Przy tych maszynach, które mamy, od owocu do gotowego spasteryzowanego soku proces trwa około 2-3 godziny, jeśli mówimy o opakowaniu jednostkowym. Jeśli zaś o tych większych opakowaniach, to trwa to szybciej, do jednej godziny. Najpierw trzeba to rozdrobnić, później 20-30 minut trwa cykl tłoczenia i pasteryzacja. Prawda jest taka, że im zrobi się to szybciej, tym lepiej, ponieważ po rozdrobnieniu większość jabłek robi się ciemna. Niektóre odmiany potrafią przybrać kolor kawy, więc trzeba to robić jak najszybciej, żeby sok wyglądał apetycznie.

Ile procentowo z kilograma jabłek wytwarza się soków?

Wydajność jest różna. W przypadku jabłek dochodzi do 80 procent, ale trzeba przyjąć, że te soki są i warzywne, i owocowe, toteż średnia wydajność mieści się w granicach od 55 do 80 procent. Z jabłek zazwyczaj 75 procent przerabia się na sok, a 25 procent to pozostały po produkcji wytlók.

Ile ton owoców zużywa się rocznie, ile litrów soków się otrzymuje?

Rocznie zużywamy nawet do 300 ton owoców, ale to wszystko zależy, czy w danym roku jest ich wystarczająca ilość. Z tej ilości możemy otrzymać nawet 200 tysięcy litrów soków.

Czy każdy może wejść i zobaczyć całą tłocznię?

Niestety nie jest to możliwe ze względów sanitarnych. Marzyło mi się umożliwienie zwiedzania w trakcie produkcji, ale wtedy hale musiałyby zostać oddzielone od takiego korytarza wycieczkowego. A to, nie ukrywając, są bardzo duże koszty finansowe. Na chwilę obecną jest to niewykonalne w mojej tłoczni, ale mam nadzieję, że zrealizuję swoje marzenie i będzie można ją zwiedzać. Na razie można obejrzeć tylko same maszyny, i to tylko wtedy, gdy produkcja soków i destylatorów nie jest realizowana. Na takie „zwiedzanie” trzeba się wcześniej umawiać.

Jak udało się panu zalegalizować śliwowicę?

Od 2004 roku mówiłem różnym politykom, żeby te przepisy u nas zmieniać, dostosować je do obowiązujących w Unii Europejskiej, np. w Czechach, na Słowacji czy w Austrii, aby umożliwić Łącku legalny wyrób tego szlachetnego produktu. Było to dla mnie bardzo ważne. Zwłaszcza dlatego, że na naszym terenie jest wielu podrabiaczy tego trunku, którzy żerują na dorobku pokoleń tradycji łąckiej, rozlewając pseudo-śliwowicę. Niszczą wszystko, i to mi właśnie najbardziej na sercu leżało i leży do dziś. Niestety nic się nie zmienia. Po różnych „bojach” z politykami, którzy mogliby to

zmienić, nie udało się nic zrobić przez 4 lata. W końcu sam zacząłem studiować te przepisy, uznając, że nie będę do końca życia walczył o to, żeby się zmieniły, a temat wałkowany jest od lat dziewięćdziesiątych. Po dość długim czasie udało się. W 2011 roku zacząłem produkować wina, a w 2012 roku – okowit owocowy. W tej chwili mam u siebie rozlewnię, gorzelnię i wytwórnię soków oraz win, wszystko zlokalizowane w jednym miejscu. Padają czasem pytania, czy mam jakiegoś członka rodziny w ministerstwie, ale nie, nie mam żadnych znajomości. Żadnego wujka czy innych krewnych. Do tego, co mam, trzeba było dojść swoim uporem. Mnie się udało to wszystko osiągnąć, ponieważ nie miałem ochoty szybko odpuścić.

To znaczy, że wszystkie wina i soki to produkty regionalne?

Można tak powiedzieć, część produktów swoją nazwą nawiązuje do regionu. *Łąckie Ogrody* czy *Śliwka Łącka* – to mówi samo za siebie. Nie są to może certyfikowane produkty, ale na przykład na soku jabłkowym tłoczonym z jabłek łąckich, które są chronione geograficznym oznaczeniem, można taki znaczek unijny zastosować, jeśli rzeczywiście produkuje się z certyfikowanych jabłek. Mamy soki z takim znaczkiem. Staraliśmy się z sadownikami uzyskać znak chronionych jabłek i w 2010 roku ten certyfikat dostaliśmy. Ubolewam nad tym, że region nie do końca to wykorzystuje, no ale Maurer wszystkiego nie robi, inni też muszą trochę w to serca włożyć...

Komu chciałby pan przekazać tę tradycję i całą tłocznię, żeby za paręnaście lat dalej funkcjonowała?

Moja produkcja nie jest nastawiona na duże zyski, z których można byliby się utrzymać. Od początku moim celem było wybudowanie własnej fabryki i stworzenie własnej marki, dlatego te produkty są firmowane moim nazwiskiem. Chciałbym, żeby moje dzieci się tym zajęły, ale nie wiem, które to robi. Oczywiście próbuję ich tym jakoś zainteresować, zapraszam ich do pracy w tłoczni. Mówię o chłopakach, bo są starsi, dziewczynki są jeszcze małe. Choć może się stać tak, że okażą się sprytniejsze, i to one się tym zajmą. Ale tak naprawdę najbardziej chciałbym, żeby zajęli się tym wszyscy. Mam przykład z zaprzyjaźnionej tłoczni w Niemczech, gdzie właściciel, mój przyjaciel, ma czterech synów i gdzie cała czwórka się tym trudni. Jeden zarządza produkcją, drugi handlem, następni jeszcze czym innym, każdy ma coś swojego. Mam nadzieję, że u mnie też tak będzie. Że nie przestraszą się tej pracy.



Z szopką...

Lukasz Setlak

Drzwi pokoju zaczęły się nieznacznie uchylać. Strumień światła ukazał drobne pyłki osiadające na imponującej kolekcji książek, notatek i sprzętów wypełniających pokój. Mężczyzna* poprawił okulary na nosie i zanurzył się w swoich zbiorach, zastanawiając się na głos:

– Gdzie to może być...

Ci, którym dane było zobaczyć to miejsce, mogli pomyśleć, że jest skarbnicą wiedzy i pamięci o całej okolicy. Lecz to nie pokój, a ów mężczyzna był żywym skarbcem cennych, a prawie już zapomnianych historii. Zbiór starych książek i notatek, mimo iż komuś z zewnątrz mógł wydawać się bałaganem, dla jego właściciela był przejrzysty i doskonale znany.

Po chwili mężczyzna wyszedł z pokoju z notatkami w dłoniach. Postawił je na stole obok szklanki z aromatyczną herbatą, myślami sięgnął do dawnych lat i zaczął opowiadać historię (a jak doskonale wiadomo, najlepsze historie to te opowiedziane przy herbacie).

Było ciemno. Słabe zimowe słońce schowało się za pobliskimi pagórkami już parę godzin wcześniej. Gruba warstwa śniegu dodawała nocnemu pejzażowi kontrastu i trochę go rozjaśniała. Niestety, była to jedna z nielicznych zalet śnieżnych zasp. Droga prowadzącą z Jazowska na Szczereż poprzez Wierchy, przy akompaniamencie skrzypiącego śniegu i podmuchów wiatru, wędrowało dwóch chłopców. Jurek, mimo iż miał dopiero 9 lat, dzielnie znosił trud wędrówki od domu do domu. Oświeślał drogę nową latarką kupioną za oszczędności z kolędowania. Jeszcze rok temu mogli liczyć jedynie na skąpe światło księżycy, była więc ona dla nich prawdziwym luksusem. 14-letni Staszek niósł na plecach drewnianą szopkę kukielkową zawieszoną na szelkach zrobionych ze starych opon rowerowych. Zarówno szopkę, jak i kukielki przygotował Janek, starszy brat Staszka. Oni mu pomagali. Przygotował ich również do ról, w które mieli się wcielić. Kiedyś to on chodził z szopką, ale teraz miał już ponad 20 lat i inne sprawy na głowie.

Na horyzoncie zamajaczyły wreszcie światła pierwszego domu. Jurek przerwał ciszę i zapytał:

– Jak myślisz, wpuszczą nas do środka?

– Może tak, a może nie. Zobaczymy – odpowiedział Staszek

– Ale jak myślisz?

– A skąd mam to niby wiedzieć? Jak będą dzieciaki, to pewnie wpuszczą.

– Oby tylko psy nie ujadaly – rzucił na koniec i na chwilę zanurzył się we własnych przemyśleniach.

W całym kolędowaniu to właśnie psy były najgorsze. Nie mróz, nie długa droga ani ciemność. Nawet wysokie okna, do których ciężko było przystawić szopkę, były niczym w porównaniu z psami, które rok w rok targały im portki.

W końcu doszli do gospodarstwa. Zaraz przy wejściu na podwórze usłyszeli wycie i szczekanie, lecz tym razem bestia była uwiązana. Odetchnęli z ulgą. Podeszli pod okno, zapalili świece w szopce i przystawili ją do okna. Zaczęli śpiewać, z nadzieją, że ktoś im otworzy:



Muzyka łączy pokolenia

fotografie: Gabriela Matusiewicz



- Po kolędzie zacni goście do was śpiesznie dążymy [...] – w domu cisza.
- Obecność nasza wróży, że się dobrze mieć będziecie – nadal nic.
- Więc gloryja najpierw Bogu śpiewajmy, śpiewajmy. A wam goście zagrajmy, zagrajmy.

Pomimo braku reakcji nie zamierzali się poddać i już zaczęli śpiewać „Bóg się rodzi”, gdy zza okna dobiegły radosne okrzyki dzieci. Zobaczyły one światełka i usłyszały melodyjną zapowiedź kolędników. W domostwie momentalnie zawrzało. Dzieciaki głośno i stanowczo domagały się, aby kolędników wpuścić. Gospodarze nie dali się długo prosić. Zima, długie wieczory i brak rozrywek uprzykrzały się, więc kolęda z szopką dla każdego była miłym urozmaicheniem.

Kolędników wpuszczono do izby, gdzie gospodyni przygotowała już dwa krzesła do ustawienia szopki. Cała konstrukcja składała się z dwóch kościelnych wież z dużymi oknami i malutkimi krzyżami na szczytach. Między nimi znajdowała się jakby scena. Wszystko wykonano w większości z drewnianej sklejki, z przeźroczystą folią w roli szyb i dachem z drewnianych klepek. W środku obu wież były świece oświetlające szopkę. Na pierwszym planie sceny pole do popisu miały kukielki, tzw. *giyrgyloki*, natomiast drugi, zasłonięty kurtyną, zarezerwowany był dla żłóbka. W podłodze wycięto otwór pozwalający na wprowadzenie kukielek. Ponad sceną znajdował się daszek łączący obie wieże.

Ciekawe, co się będzie działo, dzieci siadły na klepisku tuż przy szopce. Dorośli usiedli przy stole i zachęcali kolędników ciepłym słowem. Chłopcy wyciągnęli ręcznie wykonane kukielki. Kurtyna się rozsunęła.

Pierwsi na scenie pojawili się dwaj pastuszkowie, zbudzeni dziwnymi znakami na niebie. Uspokoili ich dopiero Anioł ogłaszający, iż:

- Narodził się Bóg, Zbawiciel świata w Betlejem mieście! Idźcie go powitać wreszcie!

Pastuszkowie szybko się zreflektowali i rzekli:

- Weź Kuba barana, a ja koszyk gruszek. Ty zaś, Michale, weź masła garnuszek. Daj Mu w kobiele, będzie na niedzielę. Razem idziemy oglądać to Boskie Ciało, co dla nas nadludzkie się stało!

Jak powiedzieli, tak i zrobili, wychodząc ze sceny w kierunku Betlejem.

Tymczasem do Heroda przybywają niespodziewani goście, o których informuje go służba:

- Królu Herodzie! Przyszli tu trzej mędrcy z dalekiego wschodu, pytając, gdzie jest nowonarodzony król żydowski.

Trzej królowie, wchodząc, pokłonili się Herodowi.

- Król Żydowski?! Nie rozumiem, nie pojmuję. Ja jestem tutaj królem! Wyznaję wam to z bólem, innych wiadomości nie przyjmuję – odparł Herod – A na razie gościna was podejmuję.

Króla nie opuszczają wątpliwości i obawy, więc pod nieobecność przybyszy wzywa Żyda uczonego w Piśmie:

- Powiedz Żydzie, gdzie się narodził Bóg?
- Buk, buk narodził się w lesie. Duży buk, twardy buk. Przyszli drwale z piłami, z siekierami, ścięli buk, nie ma buk – odpowiedział Żyd.
- Żydzie, nie pleć głupstw! Powiedz, gdzie się narodził BÓG?
- Bób? Bób narodził się w polu na zagonie. Przyszły baby z sierpem, ścięły bób, przyszły dzieci z miskami, z łyżkami, zjadły bób, nie ma bób!

Cała ta wymiana zdań doprowadza zarówno dzieci, jak i dorosłych do głośnego śmiechu.

– Żydzie! Nie pleć głupstw! Gdzie się narodził Bóg Mesjasz?! – uniósł się gniewem Herod.

– Aj waj! Aj waj! Mesjasz narodził się w Betlejem Judzkim.

Herod wzywa mędrców i wysłał ich do miejsca narodzin Mesjasza z poleceniem powitania także w jego imieniu nowonarodzonego Króla. Jednakże, czując się zagrożony, postanawia dopuścić się zbrodni i nakazuje żołnierzom zabić wszystkie nowonarodzone dzieci w Betlejem. Dręczony ciągle niepokojem, duma nad swoim nieszczęsnym losem. Nagle coś wyrывa go z rozmyślań:

– Ach! Coś tam w górze szumi, gniewu mojego nie tłumi. To pewnie krew niewinnych dzieciaków przemocą pozabijanych w ramionach ich matek.

Pojawia się anioł i mówi:

– Królu Herodzie, bój się Boga, stoi śmierć u twego proga!

– Ja się śmierci nie boję! Mam swe sługi, mam wojsko swoje!

Wtedy przychodzi śmierć, cała biała i z kosą w rękach:

– Hu hu huu, Herodzie! Skończyło się Twoje panowanie, teraz moje nastanie!

– Idź precz śmierci zjawo, ja mam w ręku prawo! – rzecze Herod, lecz śmierć nie ustaje:

– Ja ci życia nie daruję!

– Daruj choć na chwilę, choć na dzień, na godzinę, odkupię swoją winę – błaga król, lecz śmierć ścina kosą głowę Heroda.

W tym momencie w izbie zaległa cisza. Dzieci skulone i wystraszone oczekiwały dalszego rozwoju wydarzeń. Nawet dorośli jakby lekko zgarbili się pod ciężarem śmierci, która w końcu czeka każdego.

Tymczasem na scenę z jazgotem wkracza diabeł, który tylko czekał na tę chwilę.

– Jestem diabeł z piekła rodem, dokończę sprawę z Herodem! Za twe czyny, za twe zbytki, idź do piekła, boś ty brzydki!

– krzyczy diabeł i wypycha ze sceny kukielkę Heroda przy akompaniamencie śmiechu dzieci.

Wtedy na scenie pojawia się czarownica z maselniczką. Jest ona symbolem zabobonów i czarów, których w dawnych czasach było mnóstwo. Diabeł mówi:

– Jestem diabeł z piekła rodem! Skończyłem z Herodem, a teraz skończę z czarownicą! Będzie moją piekielnicą! – Po czym wypina się na czarownicę i wypycha ją ze sceny, co spotyka się z kolejną salwą śmiechu widzów.

Spektakl ma się ku końcowi. Lecz zanim to nastąpi, na scenę wchodzi Żyd handlujący skórami. Czujna władza w postaci milicjanta wkracza do akcji i rekwiruje Żydowi skórki, mówiąc:

– Ach ty Żydzie taki owaki, pójdiesz teraz do paki.

Ostatnia scena to historyjka o krakowskiej przekupce, której także zawsze towarzyszy gromki śmiech.

Na koniec chłopcy odsuwają zasłonkę, odkrywając tym samym umiejscowiony w szopce żłóbek i śpiewają wspólnie ze

wszystkimi zgromadzonymi kolędę. Gospodarze wynagradzają Jurkowi i Staszкови poniesiony trud poczęstunkiem i paroma groszami wrzuconymi do Żydka-skarbonki, który pojawia się teraz w szopce. Potem następują podziękowania i życzenia:

– Za kolędę dziękujemy, zdrowia szczęścia winszujemy, na ten Nowy Rok!

Zadowoleni i nagrodzeni za swój trud chłopcy udają się do następnego domostwa w kierunku Moskówki.

Wraz z opowieścią skończyła się także herbata. Mężczyzna siedzący w fotelu powoli wracał ze świata wspomnień. Z młodego kolędnika, którym znowu się stał podczas opowiadania, powrócił do rzeczywistości, z widoczną na twarzy melancholią.

– To były piękne chwile...

*Jerzy Trzajna urodził się w 1949 r. i mieszka w Jazowsku. Z wykształcenia instalator. Miłośnik muzyki i poezji. Członek Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej.



Nakrywej mamusiu, wesele idzie

Klaudia Jawor

Szukając śladów najdawniejszych tradycji łąckich, warto zatrzymać się przy *Weselu łąckim*, opisanym dzięki przekazom ustnym najstarszych mieszkańców Łącka. Program został stworzony przez Marię Chwalibóg. Była ona założycielką zespołu „Górale Łąccy”, który do dziś go prezentuje. Weselny obrzęd to jedna z nielicznych pozostałości po tradycyjnych weselach, jakie odbywały się na terenie naszego regionu w XIX i na początku XX wieku.

Wesele dwieście lat temu

Nieodłącznym elementem uroczystości była muzyka. Towarzyszyła ona młodym od kościoła przez całe wesele, brzmiała w przyspiewkach družbów i druhen. Ceremonią kierował starosta, którego atrybutem była *różdżka weselna* – wyschnięty czubek jodełki, który wiązano u góry na kształt wrzeciona. Zdobiono ją kwiatami z bibuły i gałązkami mirtu.

Wracając z kościoła parę witano chlebem i solą. Na chlebie młodzi składali pocałunek, co miało zapewnić dostatek. Podczas wesela każdy mógł zatańczyć z panną młodą, śpiewając przy tym przyspiewki o jej życiu jako mężatki. Około północy mężczyźni opuszczali izbę, a starościny, śpiewając pieśń *O chmielu, chmielu*, zmieniały wianek panny młodej – symbol panieństwa, na czepiec – oznakę zamążpójścia. Były to tak zwane *ocepiny*. W ich trakcie starsza drużna zbierała datki na dalsze życie młodej pary.

Po tym obrzędzie mężczyźni wracali do izby, gdzie już wspólnie kontynuowano zabawę. Goście śpiewali przyspiewki, tańczyli łackie tańce, jak na przykład obyrtany czy toniec. Całe wesele odbywało się w domu, gdzie stoły uginały się od łackich przysmaków: kołocy, podplomyków, domowych wyrobów mięsnych oraz oczywiście śliwowicy. Rodzice, młodzi i goście ubrani byli w tradycyjne stroje regionu łackiego.

Wesele dawniej

Jak wyglądało najstarsze wesele, które pan pamięta? – pytam 94-letniego pana Tomasza Baziaka z Maszkowic.

Na najstarszym zapamiętanym przeze mnie weselu ocepin już nie było. Jedynie śpiewy wokół panny młodej, składanie prezentów. Przed weselem odbywały się tak zwane zmówiny. Rodzice obu stron spotykali się, dogadywali w kwestii wesela i majątku. Byli i tacy, którzy, jak zanosilo się na wesele, to planowali, ile dostaną wiana za panną młodą (śmieje się). Mowa była o nawet stu tysiącach! Potem młodzi szli do księdza na zapowiedzi i nauki przedślubne, rodzina „pędziła” coś do herbatki. Zapraszaniem gości zajmowało się najczęściej dwóch družbów – bracia bądź najbliższy sąsiad. Młode zaproszone pannice były drużnami, a siostra lub sąsiadka była starszą drużną. Pomagali oni wyszykować się parze. W dzień ślubu młodzi otrzymywali błogosławieństwo od rodziców, družbowie jechali z nimi na koniach do kościoła i wszyscy potem spotykali się w domu. Nie było, tak jak teraz, lokali z jedzeniem, tortów. Jeszcze przed weselem rodzina robiła wyroby, którymi potem częstowała. Ilość zależała od majątności rodzin i gospodarki. Na stole zawsze gościła śliwowica. Słychać było, że jest wesele [uśmiecha się]. Trwało ono nawet dwa, trzy dni. Goście po imprezie dostawali w podziękowaniu placki, kołaczki, gorzolkę. Wszyscy ubrani byli w góralskie stroje, chociaż z czasem to zanikało. Wszystko się zmieniło, ruszyło do przodu.

Wesele łackie

fotografie: Łukasz Szelec





Wesele obecnie

Janusz Pierzchała to członek kapeli „Pogwizdani” z Łącka. Wraz z żoną zdecydował się on na góralski ślub.

Jak powstał pomysł na tego typu wesele? – pytam

Od dziecka ciągnęło nas do muzyki i tańca. Dziadkowie grali w zespołach, a później zajęliśmy się tym my. Chcieliśmy się poczuć bliżej korzeni. Pokazać rodzinie, znajomym nasz folklor. Takie wesela w naszych okolicach dawno obumarły, a chcieliśmy zaprezentować naszą kulturę zwłaszcza osobom z innych regionów. Zresztą od początku wiedzieliśmy, że będzie to wesele na góralską nutę, w której dobrze się czujemy – mówi z uśmiechem.

Pana strój składał się z: koszuli, spinki, pasa skórzanego, kapelusza, gurmamy, portek i kierpiec. Mimo tradycyjnego wzornictwa, jego kolor był nietypowy, bo zielony. Dlaczego?

Wychodzę z założenia, że mój pradziadek też nie chciał chodzić tak, jak jego sąsiedzi, a na jego stroju się wzorowałem. Na pewno starał się urozmaicić swój strój, oczywiście z zachowaniem reguł: łąckiej parzenicy i wężła rycerskiego. Było to zależne od budżetu, ale myślę, że jak teraz, tak i wtedy, każdy chce ubierać się inaczej.

Małżonka miała na sobie białą suknię. Nie chciała mieć stroju góralskiego?

Może i chciała (śmieje się). Zawsze marzyła, że pójdzie do ślubu w pięknej białej sukni i nie byłem w stanie jej przekonać. Marzenia z dzieciństwa wzięły górę. Z kolei w stroju góralskim występujemy na co dzień, więc w dniu ślubu chciała się wyróżniać.

Jakie jeszcze elementy tradycyjne zagościły na państwa weselu?

Cała oprawa góralska w drodze do kościoła, drużba. Zrezygnowaliśmy tylko z ogrywania. Było za wielu gości i zajęłoby to sporo czasu. Odbyło się tradycyjne błogosławieństwo z rodzicami, dziadkami, modlitwa pod krzyżem. W daniach byliśmy ograniczeni przez lokal, który nie specjalizuje się w kuchni góralskiej, ale był tak zwany wiejski stół. Poza tym był obrządek teraz już zapomniany, ale dawniej praktykowany, który postanowiliśmy przypomnieć. Mianowicie druhenki przywoziły od panny młodej koszulę dla mnie, czyli pana młodego. Szła ją sama panna młoda – tak, jak chciała. Dawniej zdarzało się, że pan młody szedł do ślubu w stroju góralskim łąckim, a koszule miał lachowską, aby mógł poczuć się doceniony, ponieważ Lachowszczyzna uznawana była za bogaty region.

Gdyby mógł pan zdecydować, to chciałby pan, żeby pana dzieci miały takie wesele?

[śmiech] Myślę, że moje dzieci będą miały takie wesele i będę starał się zaszcześcić w nich tę pasję. Byłoby fajnie, gdyby takie wesela wróciły do naszego regionu, ale ludzie boją się wyróżnić bądź nie mają wiedzy na ten temat. Jeśli ktoś zdobyłby wiedzę i zrobiłby wesele z zachowaniem kanonów tradycji, tak, aby nie zmieniały one się tak bardzo, to byłoby jak najbardziej super – podsumowuje swoje odczucia pan Janusz.

Wesele łąckie – przyszłość

A jak wesele łąckie, jako obrzęd a zarazem jedną z tradycji, postrzega młode pokolenie? O to zapytałam Wojtka Chlipałę – członka zespołu „Górale Łąccy”, wiernie oddanemu naszej kulturze, a zarazem pana młodego w przedstawieniu.

– Odtwarzanie roli pana młodego jest super przeżyciem. Nieraz zastanawiałem się nad tym, jakim wyzwaniem było dla rodziców przygotowanie takiego wesela. Spoczywała na nich duża odpowiedzialność, aby wszyscy byli zadowole-

ni i dobrze się bawili. Kiedyś wesela każdy przygotowywał sam, teraz robi to za nas lokal. Wszystko było trudniejsze, a przygotowanie takiej imprezy było nie lada wyzwaniem. Osobiście jako osoba, która kocha łącką kulturę, może nie identyczne, ale w podobnym stylu chciałbym zorganizować. A gdyby moim dzieciom udało się takie wyprawić, to byłbym wzruszony i dumny, że udało mi się zaszczerpić tę pasję do naszej tradycji, którą kiedyś ktoś zaszczerpił we mnie – mówi nasz góral.

Czy damy szansę odrodzić się tradycji? Czy nasze dzieci będą mogły oglądać, a zarazem praktykować nasze obrzędy? Czy w tym idącym naprzód świecie jesteśmy w stanie wrócić do wspaniałych czasów, wypełnionych zabawą, muzyką i śpiewem? To wszystko zależy od nas – młodego pokolenia, które ma wpływ na naszą małą ojczyznę – i wiedzy jaka zostanie mu przekazana.



Zapomniane w poezji

Grzegorz Setlak

Czy możesz mówić o tej ziemi,
a nawet pisać piękne wiersze,
gdy nie targałeś z niej kamieni,
by zboża wyrastały gęstsze,
gdy nie trzymałeś w dłoniach pług
lub skib co chodzą za nim krzywo.
Nie smakowałeś jej czy chuda.
Nie poparzyłeś rąk pokrzywą.

Bronek z Obidzy

Mówiąc o niematerialnym dziedzictwie, często zapominamy o poezji i prozie. A właśnie w nich wyraźnie widać tradycje i folklor, to one sprzyjają zachowaniu tożsamości kulturowej małych ojczyzn. Dobrym tego przykładem jest twórczość Bronisława Kozieńskiego, znanego jako Bronek z Obidzy. W jego wierszach i opowiadaniach, wydanych w pięciu tomikach, jest wiele postaci, zdarzeń i miejsc, które nadawały tej okolicy szczególnego charakteru, a które ocalał od zapomnienia.

Czy "juhas w džinsach" to Pan?

Podobno ja. Sformułowania tego po raz pierwszy użył jeden z krytyków literackich, Krzysztof Kwasiżur.

Zgadza się Pan z tym określeniem?

Zasadniczo tak. Zawsze chciałem być jednym z nich: paść owce, wieczorami dumać przy wiatrze, być wolnym i mieć święty spokój.

Mało spokoju i poezji było w Pana życiu?

Gdy byłem młody, bardzo lubiłem czytać. Pod koniec podstawówki nawet szukałem wierszy w książkach. Jednak w szkole zawodowej nie znajdowałem czasu na poezję. Zastąpiłem ją kolegami. Wróciłem do niej w Norwegii, pracowałem tam na budowach. Gdy nadchodziła niedziela, to jedni chodzili na ryby, inni pili, a taki człowiek jak ja nie miał nic do roboty. Wtedy znowu nabrałem ochoty na czytanie. Zacząłem szukać książek, bo nie było Internetu. Mój znajomy, Janusz Szot, pożyczył mi zbiór poezji sądeckich poetów, w którym były krótkie teksty. Ja jednak w tamtym okresie lubiłem czytać dłuższe formy literackie. Pierwsze swoje wiersze pisałem na workach po cementzie, zwykłym ołówkiem, bo nie było niczego innego pod ręką. Gdy wróciłem do Polski, zacząłem kleić krótkie opowiadania o Norwegii. Potem publikowałem wiersze na różnych portalach społecznościowych. Okazało się, że się podobają. W ten sposób urosłem do miana poety. Trafiałem na coraz lepsze portale, aż doszedłem do takich jak „Poezja Polska” czy „Fabryka Librorum”. Dzięki tym stronom poznałem takie osoby jak Wojtek Roszkowski, który jest teraz jednym z lepszych pisarzy w kraju. To między innymi jemu zawdzięczam to, jakim poetą jestem.



Artyści ziemi łąckiej
fotografie: Kuba Mrówka



Co Pana inspiruje podczas pisania?

Trudno mi wskazać coś konkretnego. To nie jest tak, że jeśli ktoś postawi mnie na Mount Evereście, to będę pisał o górach. W żadnym wypadku. Najczęściej najlepsze pomysły mam przed snem, bo wtedy jest spokój, czas na rozmyślanie... Ale co z tego, skoro nie chce mi się wstać i zapisać tego. Często też wpadają mi nowe pomysły, gdy jadę w długą drogę, na przykład pociągiem. Chodzi tu właśnie o tę chwilę spokoju, o to, że mogę pomyśleć. Bo najważniejsza jest pierwsza myśl. Gdy ktoś prosi mnie o napisanie wiersza na jakiś temat, zazwyczaj odmawiam. To się nie da ot tak. W tym czasie mogę napisać coś innego – coś, co przyniesie chwila. Staram się oczywiście dobierać takie tematy, które pasują do mnie, a nie te, które są w danym momencie na topie.

Dużo w Pana poezji jest tradycji i ludowości?

Tak. Staram się ocalić od zapomnienia te postaci i miejsca, których już nie ma, a które tworzyły dawny klimat łąkiew i sądeckiej ziemi. Jeśli chcę coś wiedzieć o regionie, o tym, co go ukształtowało, idę do chat w górach i rozmawiam ze starszami na progach ich chat, w polach, na pastwiskach. Oni są skarbnicą wiedzy o tradycji.

Słyszałem, że wychodząc z kościoła, często ma Pan gotowe wiersze.

O, właśnie... O tym zapomniałem. Niektórzy to właśnie zauważyli. Co ciekawe, nie wszystkie te wiersze są związane z tematem Boga.

A dlaczego właśnie tam?

Czy ja wiem? Dużo młodych, ładnych dziewczyn dookoła [śmiech].

Jaką ma Pan motywację do pisania?

Motywacją jest przede wszystkim wzrost liczby czytelników, bo jednak nie piszę tylko dla siebie. Chcę się tym dzielić.

Co "juhas w džinsach" czuje podczas tworzenia swoich dzieł?

Zależy, co się pisze. Zwykle jestem pobudzony. Do pisania potrzebna jest mi kawa i papieros. Ale nie oszukujmy się – wielu spośród artystów i poetów to alkoholicy i narkomani. Taka jest prawda.

„Kiedyś rym rządził mną, teraz ja rządę rymem” – powiedział Pan w jednym z wywiadów. Z którego ze swoich wierszy jest więc Pan najbardziej zadowolony?

Dzisiaj to już trudno powiedzieć, jest ich za dużo. Na początku, gdy zdobywałem nagrody na portalach internetowych, to najpopularniejszym utworem był *Prowadź przybłądo na szczyty*. Natomiast jeśli miałbym wybrać ulubiony, to musiałbym myśleć. Niemą myśleć. Jeśli chodzi o tomik, sądzę, że najbardziej wartościowy to *Wiklinowe ptaki*.

Co Pan chce ukazać w swojej poezji?

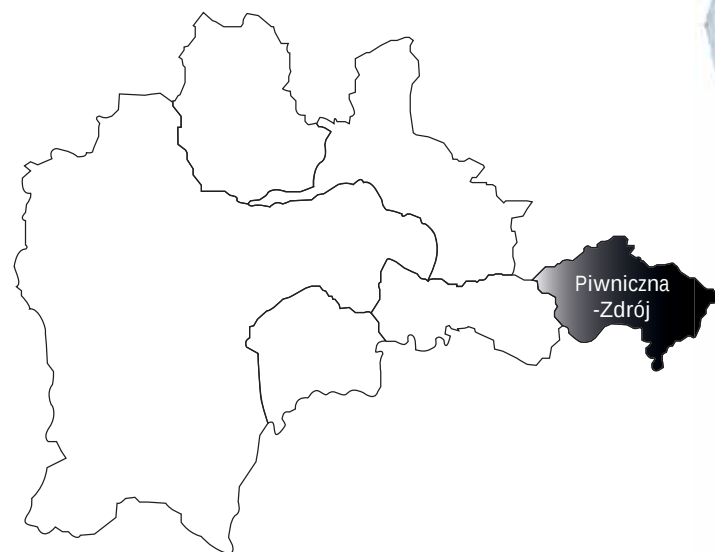
Dużo tekstów jest o mnie, ale tak naprawdę chciałbym pokazać, że poezja powinna być taka, jak człowiek, który ją pisze. Musi być autentyczna. Może dlatego w moich tekstach nie ma dużej różnorodności... Wiele zależy także od tego, kto jest odbiorcą, bo każdy tekst może dla różnych osób znaczyć coś innego. Zresztą ja zawsze mówiłem, że czytanie wierszy jest nie mniejszą sztuką od ich pisania. Lubię, gdy w tekście jest coś mocnego i ważnego. To rozumiem. Natomiast jeśli ukazana jest jakaś błahostka, to na takie wiersze jest dużo koszy. Poza tym powinny mieć częstkę niedomówienia. Dla mnie wiersz jest dobry wtedy, gdy go do końca nie rozumiem, ale czuję. Bo jednak trzeba czuć trochę ten ciężar wiersza. Oczywiście można pisać też lekkie teksty, ale dla mnie to jest bardziej zabawa słowem niż poezja.



Czy myśli Pan, że gdyby żył w innym miejscu, to Pana poezja byłaby taka sama?

Na początku chcieli mnie zamknąć w tych górach i chociaż mi to nie przeszkadzało, to jednak zakres moich tekstów jest szeroki. Jeżeli jestem na wsi, lubię pisać o mieście. I na odwrót. Gdy pracuję na przykład w Niemczech, to łatwiej mi pisać o rodzinnych stronach. Dzięki temu zawsze jestem tutaj, na Obidzy. Mimo wszystko staram się pisać prawdę, a gdzie indziej ją znajdę, jeśli nie tu, skąd pochodzę? Wiem, jak tu było, więc nie muszę niczego wymyślać.





Górale Nadpopradzcy

Górale Nadpopradzcy (nazywani też Góralami Czarnymi) zamieszkują dolinę Popradu w okolicach Piwnicznej-Zdroju i Rytra wraz z góorskimi przysiótkami. Tylko tutaj mężczyźni noszą czarne hotośnie (portki), a zamiast parzenic mają lampasy w kolorze czerwonym, który chroni przed złymi urokami. Góralki zaś noszą czerwone korale i wstążki oraz błękitory: spódnice z niebieskiego płótna przywożonego ze Starej Łubowli.

Rejon ten słynął niegdyś z czarnych owiec, których hodowla dziś szybko się odradza. W dzień św. Mikołaja wełna przyniesiona do kościoła przekazywana jest po poświęceniu najuboższemu, którzy robią z niej łodziate. Tutejsi rękodzielnicy są też znani z wyrobu wytrzymałych (świetnych) wełnianych rękawic. Dawne kontakty handlowe z Węgrami spowodowały, że gra się tu czardasze.

Kazali mi paść owce...

Katarzyna Tomasiak

Czarne owce były nieodłączną częścią życia nadpopradzkich górali, ludzi zamieszkujących obszar od Łomnicy-Zdroju po Przysietnicę tuż przy granicy ze Słowacją.

Nie ma górala bez owcy. Rasa, którą hodowano w dolinie Popradu, to cakiel górski odmiany barwnej. Oprócz czarnego koloru wyróżniała je biała końcówka ogona i plamka na głowie, przez którą owce te zwano biskupkami. Kształtowały one byt czarnych górali, dając mleko, mięso, skóry oraz wełnę używaną między innymi do szycia ówczesnych strojów regionalnych, tj. *hołośni* (spodni) czy *guni* lub *gurmany* (okrycia wierzchniego). Właśnie od koloru stroju męskiego wywodzi się potoczna nazwa „czarni górale”.

Wraz z zanikiem strojów regionalnych zmniejszyło się zapotrzebowanie na czarną wełnę. Cakle odmiany barwnej zostały zastąpione przez białe podhalańskie, które napłynęły wraz ze stadami owiec baców wędrujących przez Beskidy w stronę Bieszczad po wysiedleniu Łemków.

Spowodowało to całkowite wyparcie czarnej owcy, do niedawna uważanej za o wiele cenniejszą niż owca biała. Odzwierciedlają to słowa przysięwki: *jechali kupczykowie z Berna, pytali po kielu ta wełna, corno po 7 grosy a bialo po ile kto uprosi*.

Teraz hoduje się je z myślą o tradycji i z miłości do pasterstwa. Dzięki grupie hodowców zwierzęta tej rasy powróciły do nadpopradzkiego regionu kilka lat temu.

Dawniej z owcami na targi przyjeżdżali Huculi (grupa etniczna górali mieszanego pochodzenia rusińskiego i wołoskiego), od których się je kupowało. Handlowano również z ludnością słowacką. Targi najczęściej odbywały się na piwniczańskim rynku oraz w pobliskim Starym Sączu.

Owce w czasie wypasów żywią się trawą, a gdy zimą – sianem. Oprócz tego, muszą mieć przez cały rok zapewniony dostęp do wody i cetyny (zielonych gałązek jodły), która uzupełnia ich dietę w niezbędne składniki mineralne oraz witaminy.

Owce wykorzystywane do produkcji mleka doi się dwa razy dziennie. Mleko owcze smakuje różnie w zależności od tego co jedzą zwierzęta, od pory roku oraz zasobności łąk.

Strzyża była dwa razy do roku, przed świętym Wojciechem i po świętym Michale, czyli na wiosnę i jesień. Młode owce (około półroczne) strzygło się na świętego Jana (z końcem czerwca). Dawniej przed stryżeniem stado pławiono (kąpano) w rzece, aby pozbyć się z wełny resztek ściółki, traw i odchodów. Pławienie odbywało się podczas pogodnych dni, aby wełna szybciej schła. Dopiero po tym zabiegu wykonywano stryżę. Schwytaną owcę strzyżono, poczynawszy od brzucha kierując się ku grzbietowi – tak, aby uzyskać zwarty płat wełny.

Zestrzyżona wełna była wykorzystywana na różne sposoby. Po gręplowaniu (wyczesaniu) przędzono na kołowrotkach nić, którą później oddawano do *knopa* (tkacza), a następnie do folusznika, robiącego z niej sukno. Folowanie wełny (w warsztacie zwanym foluszem) wykonywano w taki sposób, że pas utkanej wełny pod wpływem gorącej wody ubijały drewniane młoty napędzane przez koło wodne.

...baranki cały dzień

fotografie: Emila Buczek





Wełna miała bardzo dużą wartość jeszcze w drugiej połowie XX wieku. Często była podstawą utrzymania niejednej rodziny góralskiej, a ta czarna była znacznie droższa od białej. Gdy sprzedano wełnę na targu, można było kupić na przykład traktor, na który – jak wiadomo – nie każdego było stać.

Wykoty były późną zimą lub wczesną wiosną. Tak, żeby jagnięta można było odsadzić od matek przed świętym Wojciechem. Owce trzymano w stajniach, *corkach*, a w lecie na pastwiskach. Ilość owiec w stadzie zależała od majątności gospodarza oraz od wielkości jego pola.

Rozróżniamy następujące typy wypasu na terenie górali Nadpopradzkich:

1. Polaniarskie	Wypasanie na przydomowych górskich polanach.
2. Zganieanie owiec	Jeden gospodarz w danym dniu wyganiał owce kilku gospodarzy; takie łączone stado liczyło około 60 owiec.
3. Bacówki	Owce na bacówki oddawało się na wiosnę, a brało na jesieni; pasło się tam łącznie około 200 owiec.

Stada owiec pojedynczych właścicieli były nieliczne – składały się z kilku lub kilkunastu sztuk. Po wykotach matki oddawane były na bacówkę, zaś młode zostawały przy gospodarstwie, pasąc się na okolicznych nieużytkach: *zbyrkach*, *potokach*, *paciepatch*, *drapach* i *paryjach*. Gospodarz, który oddał owce na bacówkę, otrzymywał w zamian przydział sera lub oscypków. Na jesień owce wracały do właścicieli.

Do koniecznych prac przy owcach należało dojenie, przycinanie racic i strzyżenie.

Owce są zwierzętami, które żyją około 6-15 lat. Gdy chorowały, to w zależności od tego, jak poważny był ich stan, skracano im cierpienia lub oddawało się je do bacy, który – znając się na nich najlepiej – wiedział, jak je wyleczyć. Najczęściej do leczenia owiec stosowano preparaty z ziół. Duża odporność czarnych owiec na choroby tłumaczy ich popularność w górskich terenach Nadpopradzia.

Umiejętności bacy w leczeniu chorób często nazywano czarami. Bacowie odczyniali uroki lub, wręcz przeciwnie, rzucali je. Istniał przesąd mówiący o tym, że baka chodził przyjmować komunię świętą tylko raz do roku, w okresie wielkanocnym, zabierając ze sobą komunikant, który służył mu do ochrony owiec przed czarami, urokami. Hostię wkładał do otworu wywierconego w lasce pasterskiej, co podobno chroniło pasione przez niego owce. Magią zajmował się wyłącznie baka i nie zdradzał nikomu swej wiedzy.

Dawniej owce były wyznacznikiem jakości życia człowieka i jednocześnie nieodłącznym jego elementem. Czarne owce po II Wojnie Światowej odeszły z terenów Czarnych Górali, lecz wróciły dzięki nadpopradzkim hodowcom, którzy robią wszystko, aby ich region był kojarzony z tymi zwierzętami.

W myśl starego przysłowia: *Kto mo łowce, ten mo co fce.*

Wszystkie informacje przekazali mi: Tadeusz Fiedor, urodzony w 1945 roku w Łomnicy-Zdroju, Stanisław Źrałka, urodzony w 1959 roku w Piwnicznej-Zdroju, Monika Florek, urodzona w 1975 roku w Krakowie i Piotr Maślanka, urodzony w 1985 roku w Krynicy-Zdroju. Moi rozmówcy hodują owce, tak jak ich przodkowie, podtrzymując tradycje rodzinne i oddając się swojej pasji.



Za śtyry niedziele wesele się ściele...

Aleksandra Rzeźnik

Wesele od zawsze było ważnym wydarzeniem w życiu każdego Górala Nadpopradzkiego – Czarnego Górala. Najbardziej pracochłonną częścią tego wydarzenia były przygotowania do niego. Jednak te, które odbywały się kiedyś, znacznie różniły się od dzisiejszych. W przygotowaniach brali udział swatowie, pytace, rodziny pana młodego i panny młodej, sąsiedzi... Kiedyś wesele było jednym z trzech obrzędów przejścia, czyli wydarzeń, które diametralnie zmieniają życie człowieka. Panna młoda po ślubie była całkiem innym człowiekiem. Nie mogła żyć jak kiedyś, nie mogła ubierać się jak wcześniej, musiała nawet chodzić o innej godzinie do kościoła.

Dawniej nie było małżeństwa bez swatania. Czynnością tą zajmowali się swatowie, czyli ludzie, którzy pośredniczyli w zawieraniu małżeństwa. Nazwa *swat* pochodzi z języka staropolskiego, od słowa *swadźba*. Istniały dwa rodzaje swatów: zawodowi, którzy robili to na co dzień, i społeczni, którzy, swatając, chcieli wyświadczyć komuś przysługę. Byli to mężczyźni, ponieważ gospodarze mieli do nich większe zaufanie. „Mężczyzna musiał mieć pewne predyspozycje do bycia swatem. Musiał umieć przekonać innych do swoich racji, miał obowiązek znać tradycje i obyczaje danej wsi czy miasteczka, a przede wszystkim musiał być wygadany. W Piwnicznej i okolicach mówili: wykłapany” – opowiada pani Wanda Łomnicka-Dulak, piwnicznańska poetka, zbieraczka folkloru i czynna członkini regionalnego zespołu „Dolina Popradu”. Swatowie rzadko pobierali opłaty za wykonywaną pracę. Czasem w zamian otrzymywali od rodziców pary młodej zaproszenie na jakieś przyjęcie, poczęstunek, nieraz wręczano im na przykład woreczek zboża.

W czasach przedwojennych „młodzi nie mieli nic do gadania w temacie ślubu. Dawniej wybór małżonka determinował majątek. Żeniło się nie z dziewczyną, nie z chłopakiem, tylko z polem graniczącym o miedzę, czy z morgami pola. A jeżeli już z dziewczyną, to musiała ona być gospodarna. Rodzice mieli taki schemat: zobaczyli, że dziewczyna dobrze pracuje w polu, że będzie dobrą gospodynią, wtedy podesłali swata do domu jej rodziców, i jeżeli się dogadali, odbywał się ślub.” – twierdzi pani Wanda. Tylko rodzice mieli prawo do wyboru małżonka dla swojego dziecka. Dziewczyna często wychodziła za mąż, mając piętnaście czy szesnaście lat. Gdy przekroczyła dwadzieścia lat, uważano ją za starą pannę. Mówiono, że „przestała jarmark”. Kiedy rodzice pary młodej podjęli decyzję o ślubie ich dzieci, spotykali się i ustalali co panna młoda dostanie we wianie, czyli co dostanie od swoich rodziców, wyprowadzając się do męża. „Spotkanie to polegało na dogadywaniu się rodziców w temacie spraw majątkowych i były to tak zwane orędziny” – mówi pani Wanda. Zazwyczaj panna młoda otrzymywała we wianie pościel, spódnice i na przykład gorset. Jednak głównym elementem wiana było pole. „Jeżeli dostała na przykład krówkę czy konika, to było takie grubsze wiano – dopowiada moja rozmówczyni.

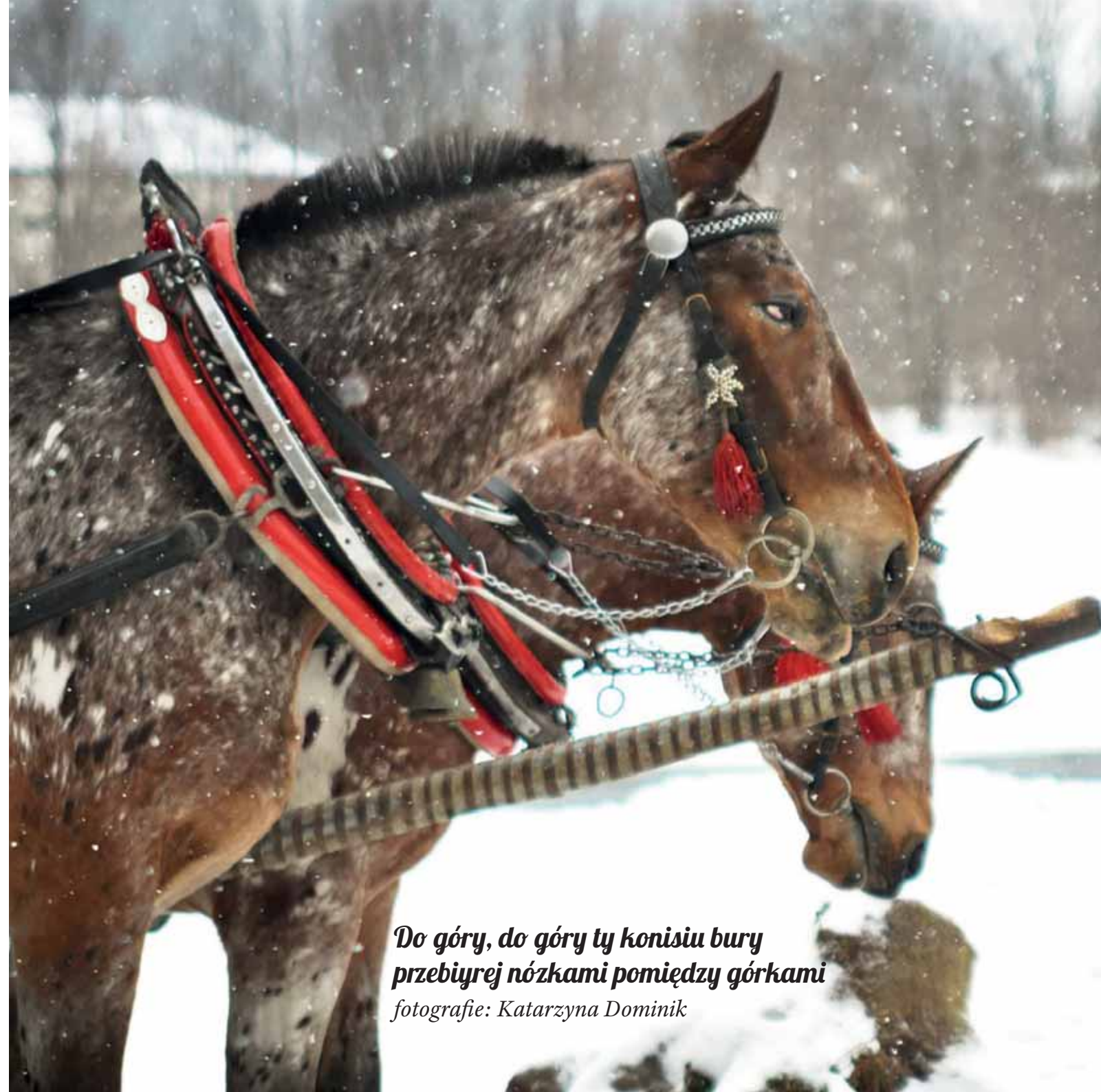
Kiedy rodziny były już dogadane, odbywały się przygotowania do ślubu, a konkretnie do ceremonii kościelnej – były to tak zwane *pocłyże*. Odbywały się one na plebanii u księdza, który odpytywał z pacierza pana młodego oraz pannę młodą i prawdopodobnie od tego pochodzi nazwa. Przygotowania do wesela zaczynały się od kwestii udziału poszczególnych stron w kosztach wesela. Zazwyczaj rodzina panny młodej starała się zapewnić na wesele jedzenie, ale nie była zdana tylko na siebie. „Cała wieś, albo przynajmniej przysiółek, składał się na to wesele. Gospodynie przynosiły masła, sery, mleko, a jak na przykład zabrakło mąki, to jechali do młyna i podrzucali trochę” – wspomina Pani Wanda. Rodzina pana młodego odpowiedzialna była za zakup alkoholu. Jednak większe koszty w przygotowaniach ponosiła rodzina panny młodej, ponieważ to w jej domu odbywało się wesele.

Na tydzień przed weselem przychodził czas na rozesłanie *pytacy*. Byli to mężczyźni, którzy zapraszali (pytali) gości na wesele. Dostawali informację, kogo mają zaprosić, a kiedy przyjechali koźmi na miejsce, wygłaszali swoją orację i śpiewali kilka przyśpiewek, zapraszając na ślub. Na tym jednak ich praca się nie kończyła. W sam dzień wesela musieli jeszcze raz jeździć i przypominać o ślubie, ponieważ co bardziej honorowi mieszkańcy, chociaż pamiętali o weselu, czekali wciąż na pytacy – czuli się wyróżnieni, kiedy ci jeszcze raz przyszli im przypomnieć o ślubie. Pytace byli zaszczyceni tym, że mogą zapraszać gości na wesele, dlatego nie dostawali za to żadnego wynagrodzenia. „Wesela najczęściej organizowane były po żniwach, bo wtedy było z czego zrobić kołacza i resztę jedzenia” – mówi pan Kazimierz Żywczak, dawny starosta weselny.

Para młoda musiała posiadać strój na wesele, który wyglądał całkiem inaczej niż dzisiaj. Stroje szyto własnoręcznie. Panna młoda miała na sobie biały kaftanik, halkę, białą spódnice oraz tiulową zapaskę. Do dołu spódnicy i do zapaski przyłączone były gałązki bukszpanu, a na głowie miała mirtowy wianek, który potem, „po celebrowanym przez kobiety obrzędzie, jednym z najważniejszych momentów uroczystości weselnych, wyrażającym zmianę stanu i statusu społecznego panny młodej i rytualne przejście do grona mężatek, po tak zwanych cepinach”, zastępowała biała, jedwabna chustka, tak zwany czepiec. Natomiast pan młody miał na sobie *hołośnie* (spodnie wykonane z czarnego sukna), białą, lnianą koszulę, czarną kamizelkę, a na głowie czarny kapelusz przewiązany białą wstążką i przyozdobiony białymi, sztucznymi kwiatami z bibuły.

Ważną rolę na ślubie odgrywały drużki i drużbowie: dwanaście panien i dwunastu kawalerów, którzy przez cały ślub byli przy parze młodej. Drużbowie byli ubrani tak, jak pan młody, ale na kapeluszu mieli niebieską wstążkę udekorowaną kolorowymi kwiatami. Drużki miały na sobie białe lniane koszule, gorsety związane niebieskimi wstążkami, halki i *blękiciory*, niebieskie spódnice z białym nadrukiem.

„Dzisiaj nie ma tych atrybutów wesela. Nikt nie przywiązuje zbytnio uwagi do obrzędów wesela, na przykład ocepin, do roli różdżki weselnej, która była kiedyś bardzo ważnym atrybutem ślubu. Wesele to jest teraz jakby rodzaj wspólnej zabawy z okazji zawarcia małżeństwa. Straciło to pewien zakres obyczajowy.” – wzdycha pani Wanda. Na szczęście można pójść na występ regionalnego zespołu „Dolina Popradu”, żeby zobaczyć odtworzony przez niego fragment wesela (*cepiny*), poczuć dawny klimat, dowiedzieć się więcej o Góralach Nadpopradzkich i ich tradycjach.



*Do góry, do góry ty konisiu bury
przebiyrej nóżkami pomiędzy górkami
fotografie: Katarzyna Dominik*



Przykłady wykorzystania siły pociągowej koni

Raz na ludowo, czyli chodoki gromy

Maciej Skalik

Muzyka ludowa stanowiła ważny element w życiu pasterzy. Umiiała im czas podczas nudnego pasania owiec. Muzyce towarzyszyły instrumenty, które pasterze robili sami z materiałów, jakie mieli pod ręką. Historię instrumentów ludowych na terenie Beskidu Sądeckiego opowie nam Piotr Kulig, z zawodu nauczyciel, z zamiłowania muzyk. A o metodach ich wykonywania usłyszymy od Stanisława Jarząba, posługującego się fizyką i matematyką, oraz od Piotra Buczka, który polega na swoim wyczuciu i finezji.

Skrzypce spod ręki, czyli Piotr Kulig o historii

W jaki sposób zajmuje się pan instrumentami?

Niektóre robię, niektóre dostaję. Głównie jest to próba przywrócenia bardzo prostych instrumentów z czasów, gdy ludzie nie chodzili do szkoły.

Dlaczego pan to robi?

Z czystej ciekawości. Czasem też ktoś chce zobaczyć te instrumenty i dowiedzieć się czegoś o nich.

Jakie instrumenty pan wykonał?

Trombitę, jedne dudy, drugie kończę. Zrobiłem także prymitywne skrzypce. Powiedzmy, że umiałbym zrobić piszczałkę, ale jej nie zrobiłem.

Które z tych instrumentów były najłatwiejsze do zrobienia?

Piszczałka. Jest łatwa zarówno w obsłudze, jak i wykonaniu.

Jak pan posiadał tę wiedzę?

Podglądałem kogoś przy pracy. Wiele można się też dowiedzieć z książek.

Czy ktoś w pana rodzinie zajmował się instrumentami?

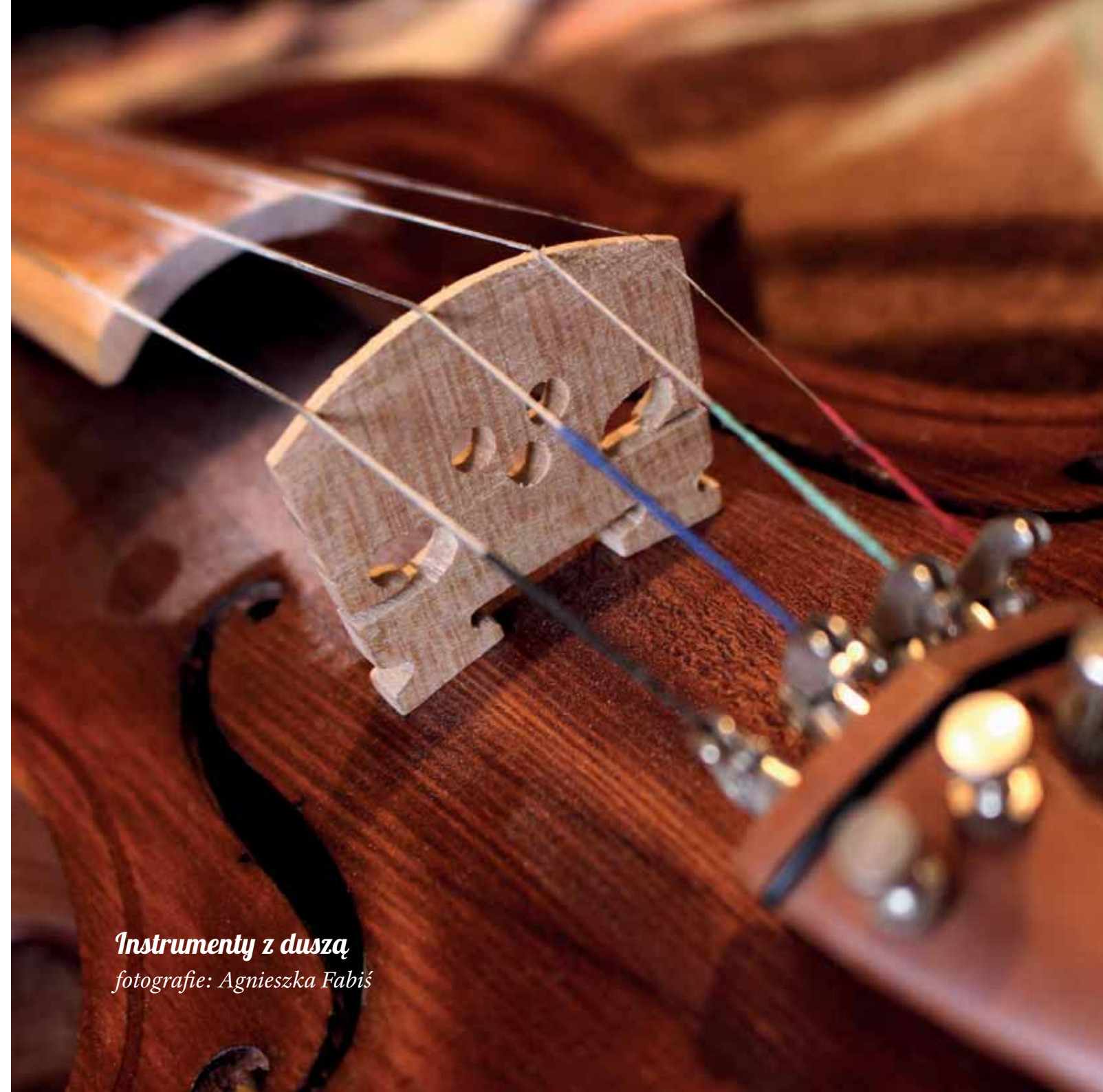
Nie. Nikt nie chciał mieć styczności z instrumentami, bo przywoływały nieprzyjemne wspomnienia dawnych czasów, o których nie chciałbym wspominać.

Wspominał pan o prymitywnych skrzypcach...

Tak, takie skrzypce wykonywało sobie dziecko. Ten instrument posiada tylko dwie struny, lecz gra.

Skąd brano materiały na instrumenty?

Spod ręki. Instrumenty robiono z materiałów łatwo dostępnych. Taki pasterz nie mógł sobie pozwolić na kupno, a kupować nic nie trzeba było.



Instrumenty z duszą
fotografie: Agnieszka Fabiś



Stanisław Jarząb



Prace twórców instrumentów ludowych regionu



Jakich narzędzi ci pasterze używali?

Na pewno szczyryka lub rozgrzanego drutu. Do wygładzania używano ostrej krawędzi szkła, co pozwalało na wyczyszczenie instrumentu. Najlepsze szczyryki robione ze starej kosy.

Czy słyszał pan o dudziarzach w Piwnicznej?

No ba. Gdy o tym usłyszałem, zaciekałem się, jak robione są te dudy. Otóż w dwa wentyle zrobione w nogach skóry koziej wkłada się rury. Jedna rura jest od „bąka”, a w tę drugą, „chwost”, dmucha się. Trzecia wchodzi w głowę, to jest „przebiełka”. Wszystko jest zrobione z naturalnych materiałów.

Czy dudy robione są tylko ze skóry kozy, czy...

Podobno robiono ze skóry psa i barana. Nie żartuję z tym psem. Tylko że skóra kozy jest dość specyficzna.

Może pan nam coś powie o trombicie?

Oczywiście. Wykonana jest z surowego niepomalowanego drzewa. Pomalowana byłaby szczelniejsza. Tutaj znajduje się obręcz, zrobiona z korzenia świerkowego. Jest ona zapinana, czego nie widać. Sprawia, że instrument się nie rozchodzi.

Z czego i jak jest robiona?

Z naturalnego świerkowego odziomka. Drzewo się rozcina, wydłubuje i szybko skleja z powrotem, bo inaczej skrzyłoby się w kształt świdra. Można dać też stroik, ale nie trzeba. Nie zmienia on wiele, po prostu łatwiej się korzysta z instrumentu.

Dlaczego ze świerka?

Ponieważ jest powszechny i można go łatwo strugać.

Do czego służyła trombita?

Do zwoływania bydła oraz do dawania sobie różnych sygnałów między wsiami.

Co było pańskim ostatnim nabytkiem?

Dzwonki. Takie, jakie często widzi się na szyi owiec.

Do czego służyły?

Dawano je owcom przewodniczkom, aby stado szło za nimi.

Pan posiada te dzwonki w wielu rozmiarach. Czy rozmiar ma znaczenie?

[śmiech] Tak, bo zmienia wysokość dźwięku. Podobno dźwięki niższe mniej ogłupiały owce.

Podobno posiada pan okarynę...

Owszem. Otóż może ona być wykonana z czegośkolwiek. Działa podobnie do piszczałki. W piszczałce skraca się słup powietrza, a w okarynie zmniejsza się objętość.

Gdzie wykorzystywane są instrumenty ludowe?

Na pewno w muzyce folkowej.

Cierpliwość jest cnotą, czyli techniczna strona instrumentu według Stanisława Jarząba

Skąd wzięło się zainteresowanie wyrobem instrumentów?

W zespole „Dolina Popradu” realizowaliśmy program związany z obróbką drewna i wtedy padł pomysł, żeby wykonać rekwizyt.

Jaki jest proces obróbki drewna?

Skomplikowany. Potrzebne jest pewnej jakości drewno przygotowane do obróbki, na przykład jawor. Generalnie instrumenty wykonuje się z jawora i świerka. Wykorzystywane są też materiały z gruszy, śliwy i orzecha.

Ile takie drewno schnie?

Jeżeli drewno jest pocięte na mniejsze kawałki, to można ich użyć dopiero po okresie pięciu lat. Duży klocek musi stać 15 lat.

Czy materiał wpływa na dźwięk?

Owszem, ma duży wpływ. Drewno musi być zwarte, sprężyste i lekkie, bo takie drewno posiada właściwości rezonansowe.

Czy proces robienia instrumentu też jest taki długi?

Cóż, nie jest krótki [śmiech]. Średnio instrument powstaje miesiąc. Czas jego wytwarzania zależy jednak od rozmiaru.

Co jest najprostszym instrumentem?

Najprostszą jest piszczałka.

Jaki był pierwszy zrobiony przez pana instrument?

Pierwszym instrumentem, który zrobiłem, były gęśle. Bo ja tworzę tylko gęśle. To był ten zrobiony na potrzeby zespołu. Był to gadżet, który później zabrzmiał, i to dosyć ładnie.

Czym różnią się gęśle od skrzypiec?

Przede wszystkim wyglądem. Nadto sposobem wykonania, bo skrzypce robi się z kilku elementów, które później się składa, a gęśle rzeźbi się z tylko jednego klocka.

Jakich narzędzi pan używa?

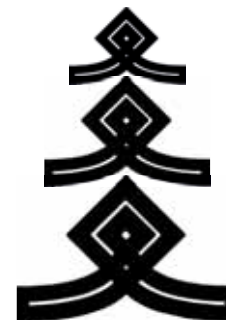
Narzędzi własnej roboty. To między innymi dłutka oraz przyrząd do mierzenia duszy, którą potem ucinamy i odpowiednio ustawiamy duszostawiaczem. Są jeszcze strugaczki do kołków, przypominające strugaczki do ołówków. Sam jeszcze wykonałem prawidło do klejenia. A klei się klejem stolarskim.

Jakich lakierów się używa?

Większość lutników używa lakierów szybkoschnących. Są one łatwo zmywalne spirytusem i mniej trwałe. Natomiast bardziej trwałe jest lakierowanie olejne.

Jakie są rodzaje strun?

Stalowe i jelitowe. Jelitowe brzmią o wiele przyjemniej. Użycie danego rodzaju strun zależy od wykonania instrumentu.



Instrumenty robi się pod tylko jeden rodzaj strun. Mniejsza siła działa przy strunach jelitowych, większa – przy strunach stalowych.

Dawniej częściej kupowano instrumenty czy je robiono?

Instrumenty były trudno dostępne i drogie, więc częściej je wyrabiano na własne potrzeby.

Czymś się różniły?

Owszem. Instrument robiony przez muzykanta nie był idealny, ale wydawał dźwięk i funkcjonował. Kupne instrumenty były lepszej jakości, o czym też świadczyła cena.

A jak jest dzisiaj?

W dzisiejszych czasach łatwiej jest kupić aniżeli zrobić albo zamówić, wiąże się to z ceną. Tańsze są skrzypce wykonane przez manufakturę od tych zrobionych przez lutnika.

Jakie jest największe ryzyko w robieniu instrumentów?

Dostanie nerwicy [śmiech]. Na pewno to, że pracę można sobie zepsuć już na początku. Jeśli ktoś popełni pomyłkę, dowie się o tym dopiero, gdy skończy robić instrument. Jeżeli jest zrobiony nieprawidłowo, nie wyda dźwięku.

Ma pan jakieś rady dla początkujących lutników?

Jeżeli ma się zły dzień, to lepiej nie brać się za robienie instrumentów, bo można całą pracę sobie zepsuć. Lepiej zrobić to później, z większą dozą cierpliwości.

Ja robię na wyczucie, czyli metody Piotra Buczka

Skąd to hobby?

Gdy zachorowałem i nic nie mogłem zrobić, zacząłem coś strugać. Bo od dłuższego czasu mnie to ciekawiło, choć nikt w rodzinie się tym nie interesował.

Jaki był pierwszy instrument?

Pierwsza była trombita. Pan Grucela kiedyś przywiózł mi trombitę, żeby na niej grać, i zainteresowało mnie, jak jest zrobiona. A to nie są żadne cuda. Potem zacząłem robić skrzypce.

Skąd pan wiedział, jak robić instrumenty?

Jak wykonać trombitę, podpatrzyłem u Gruceli. A poza tym od siebie – pomału się dochodzi do wprawy.

A jak pan zdobywał materiały?

Było to łatwe ze względu na moją profesję. I zawsze się jakieś drewno koło domu znajdzie.

Korzysta pan z lakieru?

Tak, choć fanem nie jestem, bo nigdy pracy z pędzlem nie lubiłem [śmiech].

Jakich narzędzi pan używa?

Gdy mam większy kawał drewna, to używam cyrkularki. A poza tym pracuję ręcznie z dłutkiem. Używam jeszcze nożyka. Ten, który mam, jest niezastąpiony.

Jak długo pan robi te instrumenty?

Dwa, może trzy lata.

Jak długo trwa proces robienia instrumentu?

Trudno powiedzieć. Ja się tym nie zajmuję profesjonalnie, a powracam do tego od czasu do czasu. Może miesiąc.

Ile pan już zrobił?

Skrzypiec tak z pięć, trombit... a nie wiem, nie liczę [śmiech]. Mam nawet trombitę o długości 3,70 metra. Zrobiłem też okaryny z drewna.

Robi pan to dla kogoś?

Dla siebie, bo i tak nie opłacałoby się robić na zamówienie. Choć niektórzy proszą mnie o zrobienie trombit. A tak, skrzypce do nauki, to do sklepu i cztery stówki... [śmiech].

Z jakiego drewna są najlepsze instrumenty i dlaczego?

Skrzypce z jawora, bo jest najbardziej akustyczny i twardy, a trombita z lipy, jawora, czereśni. Z czereśni ciężko się je robi, ale warto. Oraz z maranty, to coś jakby gatunek mahonia.

Skąd wiadomo jaki dźwięk wyjdzie?

Z tym to trudno. Ja robię na wyczucie.

Muzyka ludowa to wciąż żywy element historii i kultury nadpopradzkiej. W dzisiejszych czasach rozpowszechniana jest przez różne zespoły regionalne.





Piwniczańskie wyplatanki
fotografie: Kinga Polakiewicz

Michał Nakielski



Wyplatanie czapek i rękawic furmańskich z wykorzystaniem drewnianych prawideł





Górale Pienińscy



Górale Pienińscy mieszkają we wschodniej części Pienin, od Czorsztyna, przez Sromowce Wyżne i Niżne, Krościenko nad Dunajcem, aż do Szczawnicy. Od wschodu sąsiadowali z tzw. Rusią Szlachtowską, którą zamieszkiwali Rusini, czyli Łemkowie.

Charakterystycznym elementem stroju Górali Pienińskich jest lajbyk – niebieska, bogato haftowana kamizelka, którą noszą mężczyźni. Najbardziej znanym zajęciem tej grupy górali jest zaś flisactwo – dziś przekształcone w popularną atrakcję turystyczną, a mianowicie sptyw przetłokiem Dunajca.

Godła Szalayowskie w Szczawnicy

Weronika Błażusiak

W Szczawnicy za czasów założyciela uzdrowiska Józefa Szalaya istniała tradycja nadawania domom godeł. Współcześni mieszkańcy oraz szczawnickie instytucje pamiętają o tym dawnym, wyjątkowym na skalę światową zwyczaju. O idei, która przyświecała Józefowi Szalayowi i wymogach, jakie musieli spełnić gospodarze domów, by otrzymać godło, a także o utworzonym niedawno w Szczawnicy Szlaku Godeł Szalayowskich opowiada Pani Marta Słowik – historyk z Muzeum Pienińskiego im. Józefa Szalaya w Szalchtowej.

Skąd Józef Szalay wziął pomysł na nadawanie szczawnickim domom godeł?

W 1842 roku Józef Szalay przejął uzdrowisko od swoich rodziców. Zaczął wtedy jego rozbudowę. Oczywiście nie było wtedy tylu co dzisiaj pensjonatów oraz miejsc, w których ludzie przyjeżdżający na leczenie uzdrowiskowe mogliby zamieszkać. Dzięki godłom wiszącym na chatach przyjezdni wiedzieli, że dany dom można wynająć. Teraz do sanatorium przyjeżdża się na dwa, góra trzy tygodnie, natomiast za czasów Józefa Szalaya wczasy lecznicze w uzdrowisku trwały cztery miesiące – od maja do września. Biała izba stawała się więc dla kuracjuszy domem na kilka miesięcy. Wczasowicze przyjeżdżali do uzdrowiska z całym swoim dobytkiem.

Czy każdy mógł być posiadaczem takiego godeła? Czy istniały wymogi, które musiał spełnić gospodarz?

Józef Szalay wpadł na pomysł, że również prywatni gospodarze mogą wynajmować tak zwane białe izby w swoich góralskich domach. Postawił jednak trzy warunki, które musieli oni spełnić, by móc przyjmować kuracjuszy. W XIX wieku chałupy góralskie w większości były kurnymi chatami, czyli nie miały kominów, więc ktoś, kto chciał przyjmować gości, musiał wypuścić komin ponad dach. Gospodarz miał obowiązek również wstawić drewnianą podłogę – w większości domów podłogę zastępowały klepiska – oraz wstawić szklane szyby w okna. Ktoś, kto w taki sposób unowocześnił swój dom, mógł otrzymać godło.

Kto był autorem godeł szalayowskich?

Według tradycji tablice malował sam Józef Szalay, ale wiemy, że wykonywane były one również przez innych, anonimowych twórców.

Kiedy pojawiła się pierwsza wzmianka o godełach szalayowskich?

Było to w 1841 roku. Opublikowała ją jedna z gazet wydawanych w tym okresie.

Skąd wziął się pomysł na utworzenie w Szczawnicy Szlaku Godeł Szalayowskich? Kto był jego autorem?

Utworzenie szlaku w uzdrowisku to inicjatywa Muzeum Szalayowskiego oraz Urzędu Miasta Szczawnicy. Powstał on, by promować uzdrowisko. Godła na domach można spotkać tylko w Szczawnicy. Nigdzie indziej, ani w Polsce, ani na świecie, nie istniał taki zwyczaj. Niestety do naszych czasów przetrwało niewiele oryginalnych tablic z okresu Józefa Szalaya.

Godła Szalayowskie

fotografie: Weronika Marciszewska



Jak wyglądała renowacja godel?

Już w latach 70-tych XX wieku Pieniński Oddział PTTK wpadł na pomysł, by odnowić godła szalayowskie. Zrekonstruowano również tablice, które nie przetrwały próby czasu. Było dwóch artystów zajmujących się odnawianiem godel: Jan Papież i Józef Bieniek. Natomiast w latach 2008-2010 w czasie przygotowań do utworzenia w uzdrowisku Szlaku Godel Szalayowskich odnowiono i zrekonstruowano 93 godła. Wykonał je artysta plastyk Wieńczysław Kołodziejski, właściciel „Muzycznej Owczarni”.

Czy ten pomysł zyskał swoich zwolenników wśród mieszkańców Szczawnicy?

Tak, nasza inicjatywa cieszyła się dużą popularnością. Wiele osób – nawet tych, które pierwotnie nie miały na swoich domach godel – z ochotą je teraz przyjmują. Świadczy to o tym, że współcześni szczawniczanie chcą kultywować tę tradycję, ponieważ jest ona wyjątkowa i niepowtarzalna.

Ile godel było za czasów Józefa Szalaya?

Niestety ciężko jest powiedzieć. Nie jesteśmy ich w tej chwili w stanie policzyć. Korzystając ze źródeł, które zostały z czasów Józefa Szalaya, organizatorzy Szlaku Godel Szalayowskich obliczyli, że na szczawnickich domach wisiało około 105 godel. Są to jednak dane szacunkowe.



Perta Pienin - tradycja trzech pokoleń

Gabriela Kacik

Każdy góralski region może się szczycić swoją własną osobliwą tradycją. Tak jak Górale Czarni ze swoimi *holośniami*, czyli portkami z czarnej wełny, czy Górale Zagórzańscy i ich *dziady śmiguśne*, tak i my mamy swój wyjątkowy zwyczaj. Jest nim flisactwo, które towarzyszy nam od XIX wieku. Występuje ono tylko na naszym terenie, dlatego osoby, które nie odwiedziły Pienin, praktycznie nie wiedzą o jego istnieniu. Tę naszą „perłę” traktujemy wyjątkowo i stale ją pielęgnujemy, więc nasz cel to przybliżenie jej znaczenia dla nas, Górali Pienińskich. Ale czym tak naprawdę jest flisactwo, a także jak traktuje je lokalna ludność – młode i starsze pokolenia?

Pierwotnie flisactwo służyło do połowu ryb i spływu drzewa nurtem Dunajca. Z czasem rozwój cywilizacyjny wyparł tę formę transportu, która z kolei przekształciła się w miejscową atrakcję, a następnie przerodziła się w głęboko zakorzenioną tradycję góralską. Przeważnie zawód flisaka przekazywany jest z ojca na syna.

Przebywając w Pieninach, łatwo można zauważyć różnicę w podejściu do tej tradycji. Wśród starszych panuje bardzo mocna więź z flisactwem. Nie wyobrażają sobie spaceru brzegiem Dunajca bez płynącej wzdłuż niego łodzi z zawsze uśmiechniętymi flisakami. U ludzi tego pokolenia panuje konserwatywne przekonanie, że jest to tradycja, o którą trzeba dbać. Zgodnie z tym pojmowaniem rzeczy, ojczysty zwyczaj powinien mieć szczególne miejsce w sercu człowieka. Niestety duże grono młodych zaczyna odchodzić od naszego dziedzictwa, traktując je jako jedynie wakacyjny zawód – odmiennie niż ich ojcowie i dziadowie, którzy spędzali z nim całą swoją młodość oraz wszystkie letnie przygody. Wyraźnie widać grubą linię oddzielającą tradycyjne i nowoczesne flisactwo. Jest to zjawisko silnie niepokojące społeczność Górali Pienińskich, dlatego postanowiliśmy dołączyć do grona młodych, które chce chronić spuściznę swojego terenu.

W celu poznania dzisiejszego flisactwa przeprowadziłam wywiady z trzema pokoleniami flisaków: dziadkiem Wojtkiem, tatą Andrzejem i bratem Szymonem. Dzięki temu poznaliśmy spojrzenia na flisactwo z trzech różnych perspektyw. Wyraźnie widać podział pomiędzy starszymi a młodszymi.

Dla taty i dziadka jest to nie tylko praca, ale również tradycja, którą kultywują z przyjemnością, z kolei dla brata liczy się tylko zarobek. Ale zmianie uległ nie tylko sposób myślenia, lecz również wygląd łodzi. Przed wojną pływało się na *dłubankach*, czyli łodziach wykonywanych z drzew wydłubywanych wewnątrz. Z czasem zastąpiły je tratwy zbijane z czterech części. Dzięki temu zwiększyła się także ilość pasażerów (z 6-9 do 12). Samochody znacząco ułatwiły i skróciły transport łodzi pomiędzy przystaniami.

„W latach powojennych, od 47-48 do 50 roku, w pierw ciągnięto łodzie pod prąd, później wożono je końmi z Krościenka do Czorsztyna, a z Czorsztyna dopiero spławiano do Krościenka. Turysty wysiadali w Szczawnicy, pustymi łodziami płynęło się do Krościenka. Tam się przybijało do brzegu. Ręcznie to wszystko się wyciągało, ładowało się na wozy i później z powrotem konikiem wioo do Czorsztyna. Teraz, gdy skrócili spływ (...), samochody wywożą łodzie, wyciągarka wyciąga na brzeg. Na przystani trzeba tylko (...) ściągnąć, zamontować i łodzie są gotowe do następnego spływu” – mówi dziadek Wojtek. Jedyne, co zostało „po staremu”, to charakterystyczne krzaczkę z przodu łodzi, służące jako falochron, oraz numeracja tratw – od najstarszego do najmłodszego flisaka. Oczywiście flisaków obowiązuje pełny strój góralski na *trypach*.

Skarb Flisaka

fotografie: Julia Salamon



Aby trudnić się flisactwem, do którego nabór przeważnie ma charakter rodzinny lub rodowy, trzeba spełnić szereg wymogów:

- być mężczyzną w wieku 18-30 lat, zameldowanym od co najmniej 10 lat w Sromowcach, Szczawnicy, Krościenku lub Czorsztynie,
- odbyć co najmniej trzyletnią praktykę jako pomocnik przy mistrzu flisackim,
- zdać egzaminy (m.in. praktyczne i teoretyczne z PTFP, pierwszej pomocy),
- przestrzegać zasady 5% (5% pływających flisaków można powołać na kolejny sezon),
- utrzymywać czysty i schludny ubiór, zabronione są dziurawe spodnie,
- nie można być karanym za kradzież lub przemytnictwo,
- nie można mieć brody, włosy trzeba mieć przystryżone.

Praca rozpoczyna się 1 kwietnia wraz z mszą świętą, a kończy pod koniec października. Dni wolne są wyłącznie w Boże Ciało oraz Święta Wielkanocne, jeśli wypadają w kwietniu. Spływ zależnie od stanu wody może trwać od 1,5 godziny do 2 godzin. Przełom Dunajca jest jedyny w swoim rodzaju w całej Europie. Podczas przeprawy można się zachłysnąć pięknem krajobrazu charakterystycznych pienińskich gór, wraz ze sztandarowymi Trzema Koronami: Wysoką Kaśką, Grubą Baśką i Kudłatą Maryšką. Optywając góry dookoła, można dobrze się przyjrzeć pięknu tutejszej natury.

Flisacy również posiadają swoistą gwarę, w skład której wchodzi słowa takie jak *spryska* – tyczka do odpychania łodzi, czy *wylywka* – urządzenie do wylewania wody z łodzi. Mają ponadto własny hymn (<https://www.youtube.com/watch?v=0eDyfjXqA44>). Nie dzielą się żadnymi historiami, ciekawostkami ani anegdotami z tratwy. Traktują to jako tajemnicę, którą zdradzają tylko i wyłącznie podczas spływu.

Flisactwo jest nierozzerwalnie związane z naszymi Góralami. Posiada nie tylko znaczenie ekonomiczne, ale również historyczne i kulturowe. Na pewno po części pomogło w rozwinięciu się „flisackich miejscowości”. My nie wyobrażamy sobie lata bez tłumy turystów okupujących dzień w dzień przystań. Dla flisaków jest to nie tylko praca, ale duża przyjemność. Inne zdanie mają ich żony, systematycznie zasypywane bezlikiem białych koszul, które muszą być perfekcyjnie wyprane i wyprasowane. Ciężko także określić godziny powrotu męża, i to bywa uciążliwe. Jednakże mężczyźni ci posiadają określony status w społeczeństwie pięciu miejscowości, których nazwy chyba zawsze będą się kojarzyć właśnie ze spływem Dunajcem.

Region Pienin Wschodnich jest dumny z posiadania unikalnego zwyczaju. Bądź co bądź, codzienny widok „górali na tratwie” raczej cieszy oko niż nuży. Żeby naprawdę zrozumieć fenomen flisactwa, trzeba to przeżyć osobiście. Tu, w Pieninach.





Hymn flisaków

Gdzie Trzech Koron szczyt
sięga niebios chmur,
Już od wieków lud flisaków
strzeże polskich gór.

Ref. Każdy flisak zdrów,
Swoją łódkę pcha
Chleb w Dunajcu, wiarę w sercu,
Szczęście w domu ma.

Gdzie Dunajca prąd
niesie łódek sznur
A na każdej gości pełno,
Jest flisaków dwóch.

Gdzie Dunajca skręt
targa Pienin brzeg,
koło drogi lud ubogi
nuci piosnki swe.

Tędy jechał król
Jan Kazimierz zwan,
Przez Sobczański wąwóz górski
Do ojczyzny bram.

Piękny widok stąd,
Cudny wiatru wiew,
Lecz piękniejszy, lecz cudniejszy
Jest flisaków śpiew.

napisał proboszcz ze Sromowiec Niżnych w 1956 roku

Źródła:

<http://flisacy.pl/>

Wywiady z Wojciechem Kowalczykiem, Andrzejem Kacikiem i Szymonem Kacikiem.



O Krośnickich przydomkach i innych historiach

Julia Oleksy

Przydomki, pseudonimy, ksywki niezależnie od nazwy bardzo często są wykorzystywane w życiu codziennym. Mieszkańcom Krośnicy, wsi znajdującej się u stóp góry Lubań, bez wątpienia nie można zarzucić braku kreatywności.

Z posiadaczami takich ksyw wiąże się wiele ciekawych historii, o których opowiedziała mi ciocia Helena Polaczyk.

„Moja rodzina mieszkała w Karcmie po Żydach, stąd nasze przezwisko Karcmiiany. Było to miejsce niezwykle w latach 60., główny ośrodek kultury całej wsi. Co miesiąc można było obejrzeć film w objazdowym kinie, znajdowała się tam szkoła i miejsce spotkań różnych pijaków, wieś była bardziej zżyta. Jak dziś pamiętam takiego naszego przyjaciela, Jaśka od "Maciarzów", to był niezły urwis. Kiedyś nasza nauczycielka zapytała Jaśka, co się u nich w domu gotuje. Obiady na winie – odpowiedział niegrzeszący inteligencją Jasiek. Nauczycielka wezwała siostrę Jaśka i zapytała, czy jest u nich jakiś problem, bo chłopak rozpowiadał w szkole o jedzeniu na winie. Ona zdenerwowana i trochę zawstydzona odpowiedziała, że nie na alkoholu, ale na tym co się pod rękę nawinie. Wszyscy się śmiali. Jasiek maciarzył, maciarzył (mataczył) i się takiej ksywki dorobił. Ktokolwiek zapytał go, gdzie był, odpowiadał dumnie: «Urodziłem się na Krośnicy i spędziłem całe życie na Krośnicy» – co nie było prawdą, ale nikt się kłócić nie chciał.”

Ciocia z wielkim sentymentem wraca do lat spędzonych w Karcmie.

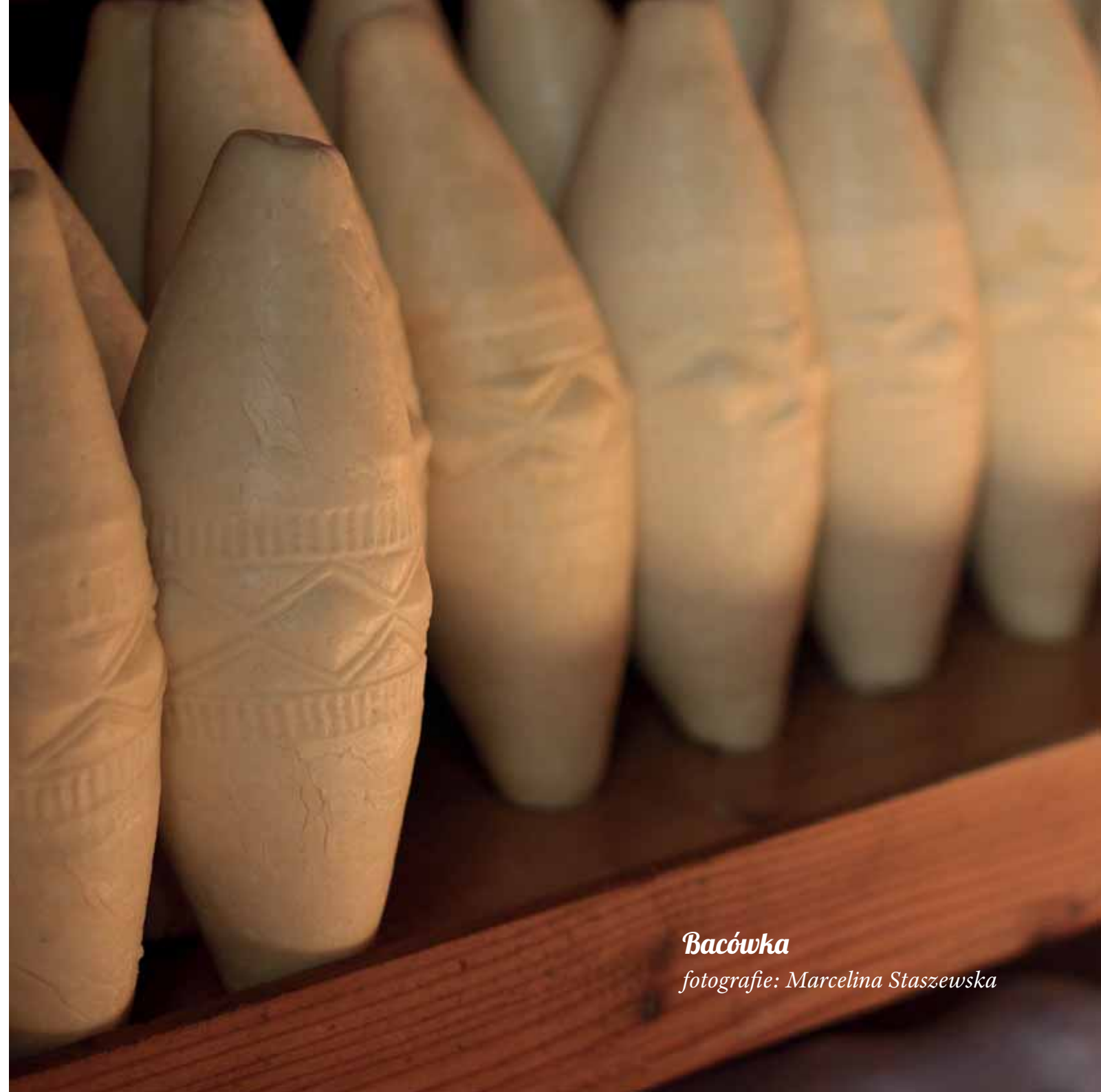
„Mieszkanie w szkole wcale nie było takie wspaniałe, o wagarach mogłam zapomnieć” – mówi ze śmiechem. „Nieraz nawiedzały nas tam duchy poprzednich mieszkańców Karcmy. Jako małe dzieci baliśmy się, ale z czasem zrozumieliśmy, tak też tłumaczyła nam to mamusia, że to tylko niespokojne dusze wracają sprawdzić, co się dzieje z ich dobytkiem.” – wspomina ze spokojem.

„Ciekawa historia wiąże się z posiadaczką pseudonimu «Madziarka». Bała się świniobicia w swoim rodzinnym domu, więc uciekała do Krośnicy. Często chodziła na piechotę po zmroku. Kiedyś pewien chłop wracał w nocy pijany i z daleka dojrzał źródło światła, widział też różne dziwaczne stwory. Nie miał wyjścia, musiał iść w ich stronę. W miarę zbliżania się dostrzegał coraz wyraźniejszą sylwetkę kobiety. Okazało się, że to właśnie «Madziarka» tańczyła przy ognisku i omal nie doprowadziła do zawału młodego chłopca. Podobno była to szalona kobieta i stąd jej przydomek.”

„U nas można było spotkać też «Kupców», rodzinę od strony mojej mamy. Zajmowali się oni handlem, sprzedawali konie i inne zwierzęta. Każdy w Krośnicy jakieś przezwisko musiał mieć, ale może kto starszy będzie wiedział coś więcej”

Postanowiłam o dalsze informacje poprosić ciocię Ludwinę, która mieszka w Krośnicy od urodzenia i zna wiele ciekawych historii.

„Krośnicka «Wiedźma», inaczej «Babka Paprykosiowa», ksywę tę zawdzięcza swojemu zachowaniu. U nas jak ktoś jest taki nieschludny, nie lubi sprzątać, robi to byle jak i niedbale, szaleje zamiast zajmować się domem i dziećmi, to się «kokosi», tak więc została «Babką Paprykosiową». Przezwisko to zostawiła swojej rodzinie w spadku. Potrafiła sprawić, że krowy dawały krwawe mleko, w nocy biegała po polu, strasząc ludzi wracających po zmroku. Jeśli któraś rodzina jej się nie spodobała, to nie miała łatwo. Ich plony się psuły, dzieci chorowały. Miała syna, bardzo go kochała, więc jeśli ktoś mu dokuczał, to marnie kończył.”



Bacówka

fotografie: Marcelina Staszewska

„My z nią żyli w zgodzie, więc się nie baliśmy” – ze śmiechem dodała ciocia.

Niemalym zainteresowaniem cieszyła się rodzina, która sprowadziła się do Krośnicy z niedalekiej miejscowości, Tylmanowej. Z początku nie doświadczyli sympatii rdzennych mieszkańców wsi i przez długi czas musieli starać się o zyskanie przychylności sąsiadów. Mogli dostrzec, że udało im się wkupić w łaski krośnickiej społeczności, kiedy, jak na prawowitych mieszkańców wsi przystało, zyskali swój własny przydomek – „Tylmaccy”.

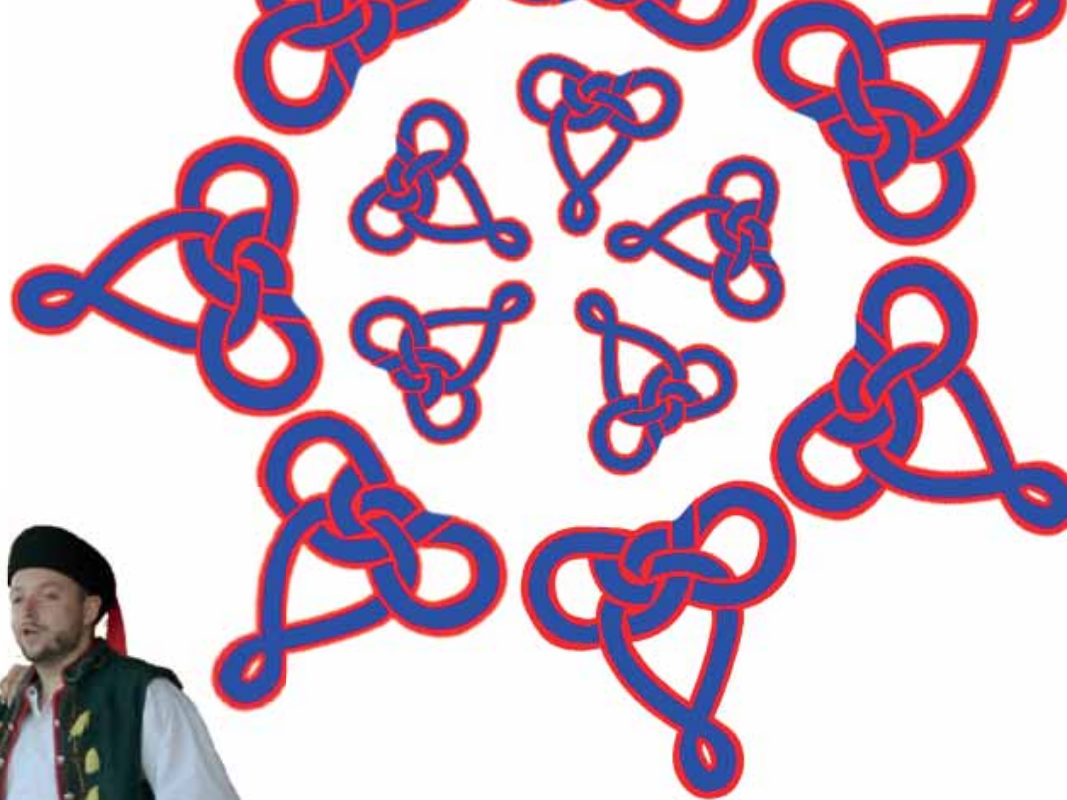
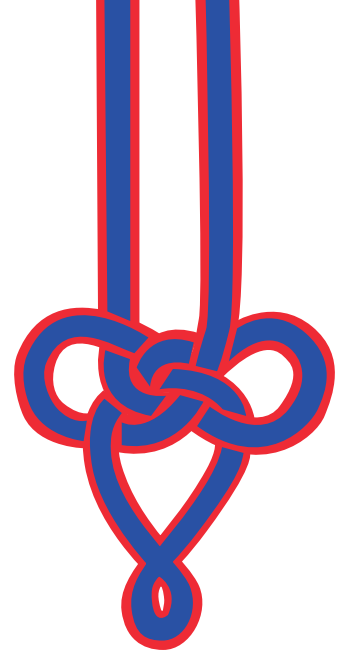
Jak można zauważyć, Krośniczanie byli bardzo pomysłowi w kwestii wymyślania pseudonimów. Weźmy na przykład bardzo popularne określenie, iż ktoś pochodzi „od Cebulów”. Można się domyślić, że właściciele tego przezwiska związani byli z uprawą cebuli oraz jej sprzedażą do okolicznych miejscowości.

Przed wszystkim jednak krośnickie rodziny identyfikowano z gospodarzami domów. Stąd właśnie liczne miejscowe rody swoje przezwiska zawdzięczają imionom oraz nazwiskom dziadków i ojców, na przykład: „Kaźmierki” (od imienia Kazimierz), „Michały” (od seniora Michała), „Batory”, „Tomaśki”. Czasem jednak z braku pomysłu inspirowano się zwierzętami, takimi jak: gile, łabędzie. Mieszkańców tak zwanej „Krośnickiej Ukrainy” nazywa się „Hubianami”, od ilości drzew pokrytych grzybem w pobliżu ich domów.

Wyraźnie widać, jak bujna była wyobraźnia starszych pokoleń Krośniczan. Odnaleźli oni idealny sposób na pozostawienie bezcennej pamiątki swoim potomkom. Do tej pory wspomniane pseudonimy pozwalają nam odkryć chociaż część historii najstarszych rodów miejscowości spod Lubania.







Górale Spiscy

Polscy Górale Spiscy zajmują 15 wsi położonych pomiędzy Zalewem Czorsztyńskim a rzeką Białką, m.in. Łąpsze Niżne, Niedzicę, Kacwin, Trybsz, Frydman i Jurgów. Większość (95%) Spisza znajduje się dziś na Słowacji. W kulturze ludowej widać sześć wieków panowania węgierskiego.

Strój Górali Spiskich występuje w aż trzech odmianach: trybskiej, kacwińskiej i jurgowskiej. Wiele tradycji jest wciąż żywych – w Niedzicy do dziś można spotkać bymbniorza, który przekazuje ważne komunikaty, a pod koniec karnawału zobaczyć „chodzenie z koniem”. Architektoniczną ciekawostką Spisza są „sypańce” – tradycyjne spichlerze w Kacwinie.

Spiskie wesele 45 lat temu

Julia Molitorys

W ostatnim czasie miałam okazję uczestniczyć w weselu, w którym o północy były „ocepiny” i taniec „brałucki”, ale mało z tego rozumiałam. I nagle uświadomiłam sobie, że wy, babciu i dziadku, mieliście wesele 45 lat temu. Moglibyście się ze mną podzielić wspomnieniami z tego szczególnego dnia?

Nasze wesele odbyło się 19 stycznia 1975 roku. Było ono przygotowane na wzór wesela naszych rodziców. Pamiętam, że rano był lekki mroźnik, ale po południu wyszło słońce. Tydzień przed weselem odbywały się „namowiny”. Polegały na tym, że pan młody przychodził wraz z rodzicami do panny młodej. Wszyscy siadali przy stole, częstowali się kołaczami i omawiali szczegóły ślubu, a także dalszego życia młodych (np. gdzie będą mieszkać, czy będą budować dom, jakie działki dostaną od rodziców). Dziadek wtedy żartobliwie powiedział, że chciał mnie za żonę tylko dlatego, że moi rodzice mieli pole w sąsiedztwie własności ziemi jego rodziców.

Babciu, a jak wyglądał poranek w dniu ślubu?

W dzień ślubu było dużo przygotowań. Drużbowie zapraszali gości weselnych, a jeżeli goście nie chcieli przyjść, młoda para musiała iść prosić ich osobiście. Kiedy już wszystko było gotowe – panna młoda była ubrana w białą suknię, a pan młody w garnitur – starosta pana młodego prosił rodziców młodej o jej rękę. Starostowie mieli ułożoną przemowę, którą wygłaszali (babcia wyciągnęła z szuflady starą, pożółkłą kartkę z napisaną mową):

„Kochani rodzice, macie tu przed sobą córkę i syna, którzy odchodzą od was do sakramentu małżeństwa, by rozpocząć nowy etap swego życia. Genowefo, nadszedł czas, byś ty, jak twoja matka, wzięła na siebie obowiązek założenia rodziny, urodzenia i wychowania nowego pokolenia. Od dziś staniesz przy boku twego męża, przyjmiesz troskę o wasz dom, o wasze dzieci. Pragnę, byś była szczęśliwą żoną i matką, byś była oparciem dla twego męża oraz radością dla twych dzieci. Janie, od dziś będziesz mężem i ojcem przyszłej rodziny. Buduj swe życie małżeńskie, rodzinne na wzajemnej miłości i wierności Bogu i jego przykazaniom. A teraz młodzi klękajcie przed rodziców w geście podzięków i z prośbą o błogosławieństwo. Niech Bóg Wszechmogący, Ojciec, Syn i Duch Święty napelni was swoją radością, błogosławi wam i waszym dzieciom. A wy, rodzice, szczerze im błogosławcie, aby na tej nowej drodze życia dobrze im się wiodło.”

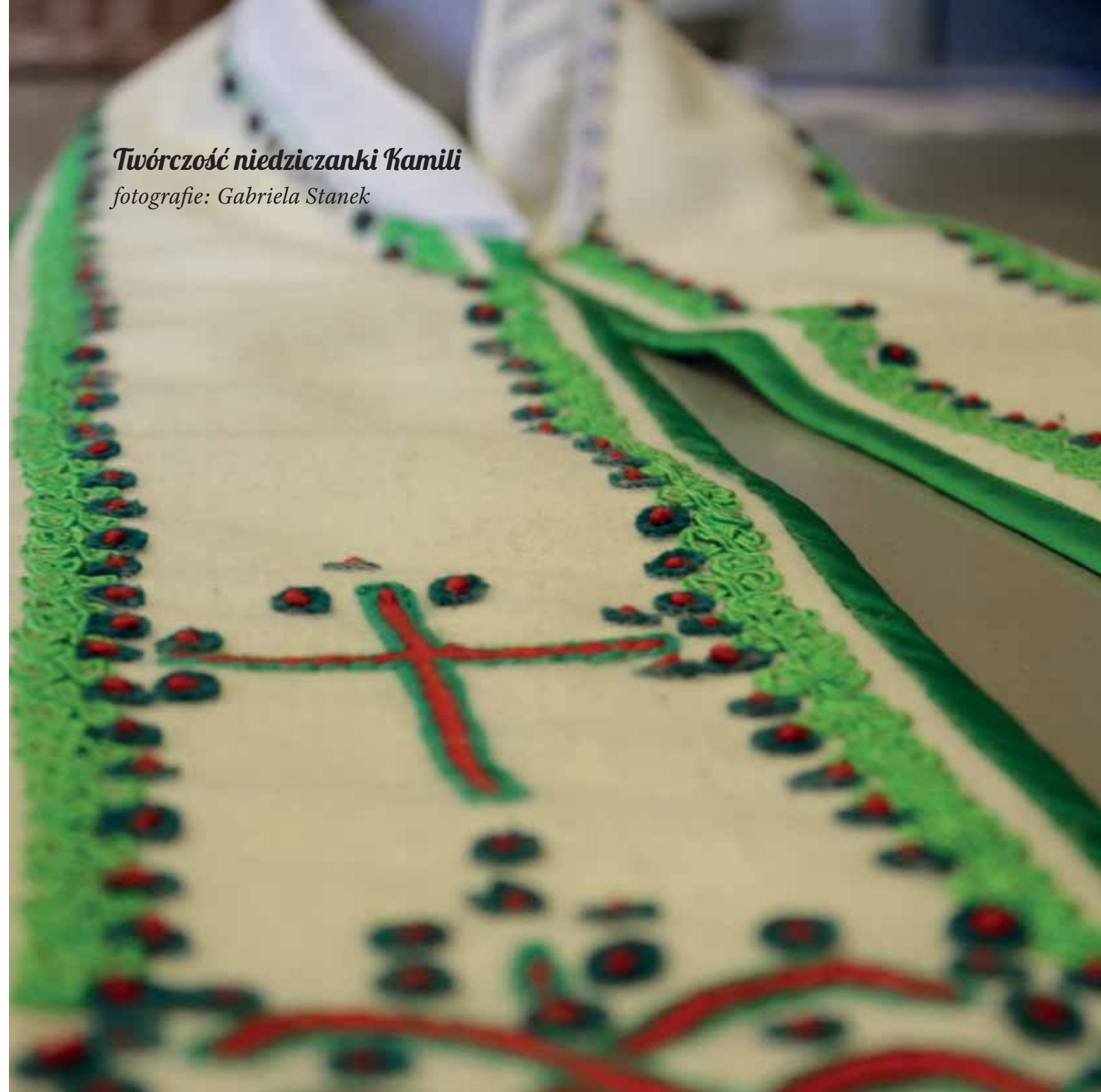
Następnie narzeczona przyszywała swojemu przyszłemu mężowi bukiet sztucznych kwiatków, zwany piórkiem. Podobną czynność wykonywały drużby, przyszywały bowiem piórka drużbom i starostom. U młodej w domu odbywało się błogosławieństwo. Po czym kapela grała pieśni kościelne, najczęściej „*Serdeczna Matko*” i goście weselni udawali się do kościoła. Orszak weselny szedł pieszo. Najpierw kapela, potem młoda w towarzystwie dwóch pierwszych drużbów i młody z dwiema druhnami. Za nimi szpaler drużbów i druhen, około 20 par.

Kto był obecny na ślubie?

Tylko najbliższa rodzina, drużby, drużbowie i starostowie. Wszyscy obecni pochodzili z Kacwina, gdyż między wioskami nie było tak dobrego kontaktu, jak teraz. Po zawarciu małżeństwa goście panny młodej szli do jej domu, a goście pana młodego do jego domu, tam spożywali obiad. Kilka godzin później mąż szedł do domu żony, ta zaś przygotowane wcześniej prezenty dla teściów i rodzeństwa pana młodego zawijała w biały obrus i wraz ze swoim mężem i gośćmi udawała się do domu teściów.

Twórczość niedziczanki Kamili

fotografie: Gabriela Stanek



Gdzie w czasie wesela tańczyli goście?

Goście bawili się w stodole, która była wysprzątana i specjalnie udekorowana na tę okoliczność.

O co chodziło z *cepieniem* panny młodej?

W domu młodego drużny zabierały młodą do innego pomieszczenia. Tam ubierały ją w strój spiski, zdejmowały z głowy wianek lub welon i zaplatały włosy w dwa warkocze, z których formowały tak zwane „kółko” na głowie. Następnie zakładały chustkę na głowę, co stanowiło wyraźny znak, że nastąpiła zmiana stanu panieńskiego w stan małżeński. Od tej chwili przed młodą żoną stawały nowe obowiązki i zadania. Kiedyś kobieta po ślubie nie mogła bez nakrycia głowy nigdzie wychodzić. Pamiętam, że pokolenie mojej mamy przestrzegało tej zasady. W czasie „*cepienia*” drużny śpiewały przyśpiewki, między innymi:

„Jak cie bedom cepić, poźryj do powały
Zeby twoje dzieci corne ocka miały.
Jak cie bedom cepić, poźryj ze do słupa
Zebyś wychowała sina na biskupa.”
„Składajcie się sićke druski
Młodyj Pani na pieluski,
bo jak bedzie dziecko miała
cymze będzie powijała.”

Dziadku, a kim były *strzigi*?

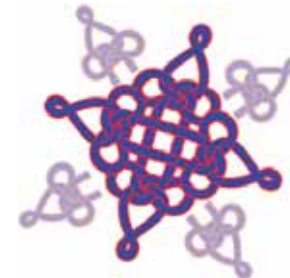
W czasie *cepin* młody pan z niecierpliwością oczekiwał żony. Wówczas to przychodziły do niego *strzigi* – były to przebrane drużny, na przykład kobieta z dzieckiem, panna młoda czy jakaś śmieszną postać, zwana też *dziadówką*. Przebrane dziewczyny miały jeden cel – chciały zerwać „piórko” panu młodemu, podczas gdy on z determinacją musiał się przed *strzigami* bronić. Kiedy młoda pani była *zacepiona*, czyli ubrana w strój przeznaczony już dla mężatki, wchodziła do pomieszczenia, gdzie oczekiwał ją mąż i wtedy rozpoczynał się taniec tak zwany *brałucki*, o który mnie pytałeś. Taniec ten to nic innego jak powszechnie znany na Spiszu kulawy. Jednak w czasie *ocepin* określano go jako *brałucki*. Najbliższa rodzina tańczyła ten taniec z młodą panią i młodym panem. Każda osoba tańcząca przekazywała pieniążki na specjalnie przygotowany talerz, którym opiekowała się starościna. Po zakończonym tańcu, zebrane pieniądze wsypywano młodej pani do fartucha, a ta przekazywała je kapeli, płacąc za muzykę, którą grała podczas wesela.

Ile trwały poprawiny po weselu?

Poprawiny, czyli dalsza część biesiady weselnej, trwały aż trzy dni. Pierwszego dnia odbywały się u młodej, drugiego u młodego, a trzeciego goszczono kucharki i osoby, które pomagały w uroczystościach weselnych.

Jak wspominacie wasz dzień wesela?

W dzień wesela było dużo pracy, gdyż zazwyczaj goście po zaproszeniu друзbów nie chcieli przyjść na wesele. Czekali, aż para młoda przybędzie ich osobiście zaprosić. Dlatego zamiast się cieszyć, tańczyć i świętować musieliśmy dużą część czasu poświęcić na zapraszanie gości. Jednak to był piękny dzień, który do teraz mile wspominamy.



Zwyczaje związane z chrztem dziecka w Kacwinie

Anna Tomasz

Moje zainteresowania tematyką dotyczącą obrzędowości rodzinnej pojawiły się w pierwszej klasie gimnazjum na zajęciach dodatkowych z edukacji regionalnej. Projekt *Odkrywanie skarbów dziedzictwa południowej Małopolski* zmobilizował mnie do poszukiwań wiadomości na ten temat. Przeprowadziłam wywiad z Zofią Michalak – urodzoną 9 maja 1937 roku mieszkanką Kacwina, matką trójki dzieci ochrzczonych według dawnych zwyczajów.

Czym rodzice kierowali się przy wyborze imienia dla swojego dziecka?

Główny wpływ na to, jakie dziecko będzie nosiło imię, miała data jego urodzenia. Przykładowo, gdy maluch urodził się w okolicach 19 marca, oczywistym było, że będzie miał na imię Józef lub Józefa. (Moja rozmówczyni podaje, że urodziła się 9 maja, dlatego nadano jej na chrzcie imię Zofia. 15 maja przypadają bowiem dość popularne na naszym terenie imieniny Zofii. Rodzice przy wyborze imion kierowali się również imionami noszonymi przez dziadków w rodzinie.)

Co decydowało o wyborze chrzestnych?

Kumotrowie, bo tak w gwarze nazywano rodziców chrzestnych, byli wybierani głównie w najbliższej rodzinie. Przy wyborze kierowano się też cechami charakteru. Unikano proszenia osób, które na przykład nadużywały alkoholu lub były leniwe czy też niezaradne w życiu. Wierzono, że te cechy mogą wpłynąć na przyszłość chrzczonej osoby. Warte odnotowania jest, że do dnia dzisiejszego w Kacwinie dziecko, kiedy zwraca się do chrzestnej, używa określenia *gotka*, co znaczy matka chrzestna, natomiast do ojca chrzestnego zwraca się *potek*.

Kiedy rodzice chrzestni byli proszeni o niesienie dziecka do chrztu?

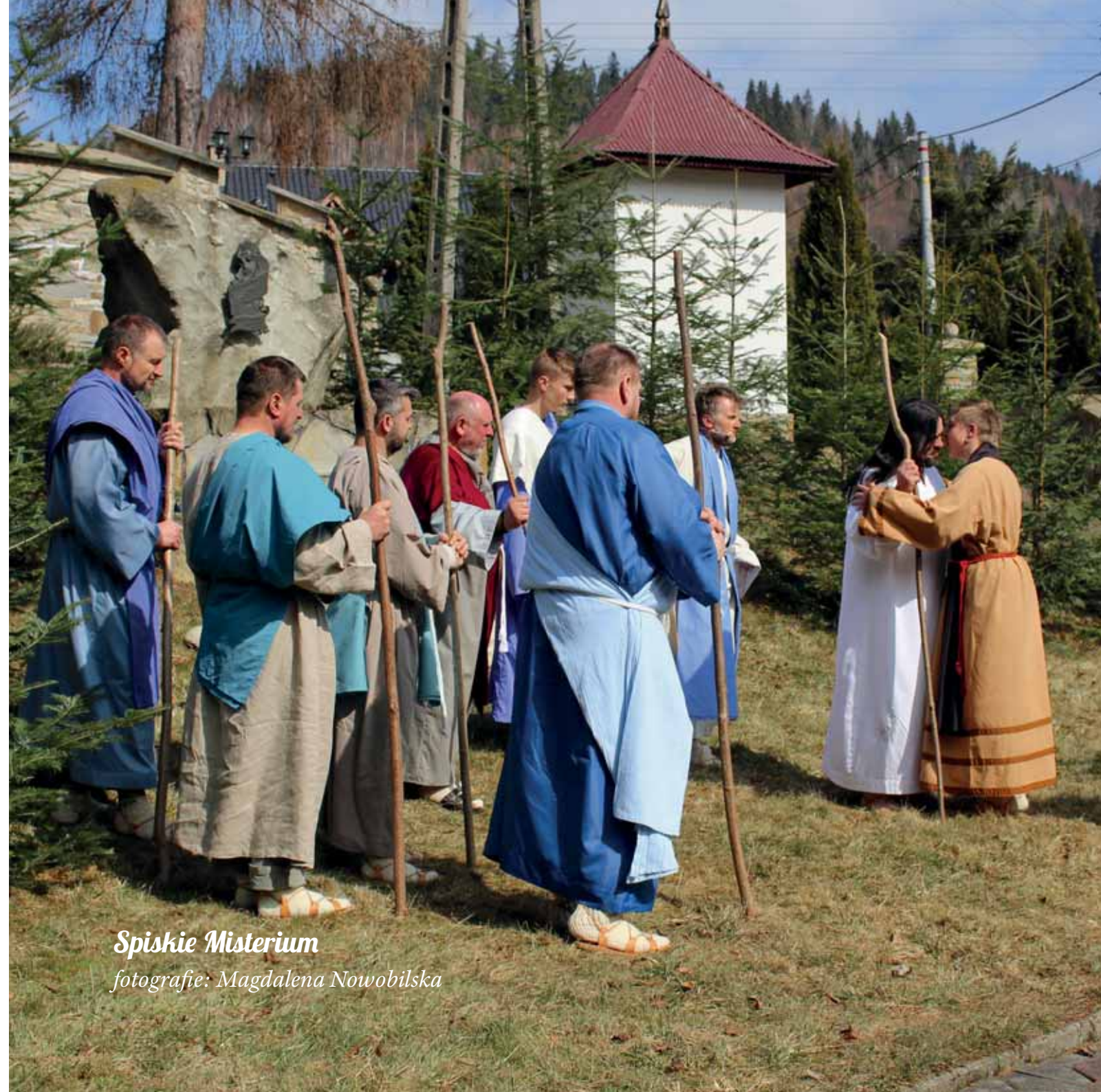
Ojciec dziecka w środę poprzedzającą niedzielę chrztu zabierał ze sobą butelkę wina oraz butelkę wódki – tzw. *pociesną* – i szedł do przyszłych rodziców chrzestnych, aby prosić ich o pełnienie tak ważnej roli podczas uroczystości chrztu świętego. Zaproszenie miało miejsce przeważnie w środę ze względu na to, że w czwartek w Nowym Targu jest tradycyjny jarmark, podczas którego rodzice chrzestni dokonywali zakupów. Matka chrzestna kupowała całą wyprawkę do chrztu. Były to między innymi pieluchy, becik, białe ubranko i biała szatka oraz inne ubranka dla dziecka i jego rodzeństwa, jeśli je miało. Ojciec chrzestny na jarmarku kupował przede wszystkim świecę, ale zdarzało się, że też kupował ubranka dla dziecka.

Powiedziała pani, że do rodziców chrzestnych szedł sam ojciec. Dlaczego matka nowonarodzonego dziecka nie towarzyszyła mężowi?

Do kumotrów szedł sam ojciec dziecka, bo matka do *wywodu* nie mogła wychodzić z domu. Wręcz mówiono, że położnica nie może pokazywać się ludziom.

Na czym polegał *wywód*?

Wywód – była to ceremonia kościelna, obrzęd oczyszczający, któremu zgodnie z prawem zwyczajowym i dawnym prawem kościelnym poddawały się kobiety wszystkich stanów. W Kacwinie „wywód” miał miejsce dzień po chrzcie dziecka, zamykał izolację położnicy. Matka zabierała nowoochrzczone dziecko i udawała się do kościoła. Klękała z noworodkiem przed ołtarzem, a kapłan odmawiał nad nimi modlitwę. Tradycja przekazywana ustnie zobowiązywała do wywodu do lat 70. XX wieku na Spiszu. Po *wywodzie* matka wracała do życia w lokalnej społeczności.



Spiskie Misterium

fotografie: Magdalena Nowobilska

Jakie inne zadania, oprócz zakupów na jarmarku, mieli rodzice chrzestni?

Od czwartku do niedzieli kumowie dbali o wyżywienie położnicy. Przynosili jej kakao, pączki, herbatę i babę, czyli ciasto drożdżowe. Natomiast w przeddzień chrztu przynoszono ubranka dla dziecka oraz samodzielnie upieczone ciasta i tort. W dzień chrztu *gotka*, czyli matka chrzestna, wraz z kumem zakładali mu ubranka i udawali się sami bez rodziców dziecka do kościoła na uroczystość sakramentu chrztu. Kolejnym zadaniem po chrzcie było zapewnienie posiłku, przygotowanie rosołu i podanie go matce dziecka, aby miała dużo pokarmu, a dziecko nabierało sił.

Jak wyglądał chrzest dziecka przez kapłana?

Ten obrzęd nie różnił się zbyt wiele od tego, który my dzisiaj znamy.

Gdzie odbywało się przyjęcie po mszy świętej?

U nas w Kacwinie nie było innej możliwości jak przyjęcie w domu. W przypadku małych pomieszczeń wynoszono z nich meble, aby uzyskać większą przestrzeń.

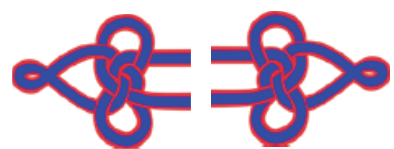
Dawniej wszyscy mieli gospodarstwa rolne. Czy to nie przeszkadzało w świętowaniu?

Po mszy wszyscy goście udawali się na przyjęcie, gdzie byli częstowani obiadem i ciastami. Ze względu na obowiązki związane z nakarmieniem zwierząt, głównie krów, i wydojeniem ich, goście udawali się do domów. Po skończonej pracy wszyscy wracali na dalszą część biesiady. Rodzice chrzestni przynosili wtedy w prezencie w misce lub w koszyku ładnie ułożone pętka kielbasy, jaja, ryż i butelkę wódki.

Jakie inne zwyczaje towarzyszyły uroczystości chrztu?

Około północy ojciec chrzestny wstawał i wygłaszał przemowę, po czym na przybrany talerz lub koszyk kładł banknot o największym nominale i przekazywał koszyk innym gościom, którzy podawali go sobie, kładąc podarki dla malucha. Na końcu wszystko trafiało w ręce matki. Przy okazji chrzcin pamiętano o głodującym dzieciach. Chrzestny po raz wtóry zabierał głos i w podobny sposób zbierano pieniądze dla potrzebujących dzieci. Ofiarę zanoszono do księdza, który wysyłał pieniądze na misję. To jednak nie kończyło jeszcze przyjęcia. Zdarzało się, że goście ucztowali do rana. Rodzice dziecka, żegnając gości, w podziękę za przybycie obdarowywali ich ciastem w papierowych torebkach.





Zapomniane łapszańskie zwyki

Mikołaj Kowalczyk

Pokolenie mojej babci, Marysi, szanowało stare *zwyki* (zwyczaje). Dziś w większości odeszły one w zapomnienie. Babcia należała do zespołu regionalnego „Spiszacy” w Łapszach Niżnych. Brała udział wielu przedstawieniach, często ukazujących prาดawne zwyczaje. Jak każda babcia, tęskni za młodością i pewnie chciałaby do niej wrócić, choć na chwilę...

Babciu, proszę, opowiedz mi o dawnych zwyczajach, jak to dawniej bywało?

Dawniej było wiele zwyczajów dziś już zapominanych, opowiadali nam o nich nasi ojcowie i dziadkowie. Żyliśmy tymi zwyczajami, ale dziś życie się zmieniło, pojawiły się nowe obyczaje. O tych starych jednak warto pamiętać – dziś dobrze je wspominam.

Jednym z ciekawszych i ulubionych przez dzieci zwyczajów było chodzenie z *betlejymkiem*. W wigilię Bożego Narodzenia chłopcy chodzili od domu do domu, winszując, to jest składając życzenia. Mieli ze sobą *betlejemki*, czyli dzisiejsze szopki.

Jak wyglądały te betlejemki?

Dzieci same je robiły z tego, co miały, na przykład kolorowych sznureczków, kawałków papieru, deseczek czy materiału. *U nas była biyda totys nie wyżyrały sfarnie (ładnie), ale prze kozdego właściciela były nojpiknijse.*

Co dawano kolędnikom za odwiedzenie domu z szopką?

Za zaśpiewane kolędy i winszowanie dawano drobne pieniążki. Niestety ja i moje koleżanki nie mogłyśmy chodzić z *betlejymkiem*. Taki już był zwyczaj, chodzili tylko chłopcy. Domy odwiedzały też często cyganki, które pięknie śpiewały kolędy.

Czy im też dawano pieniądze?

Tak, również im przekazywano datki, choć oczywiście zależało to od hojności gospodarzy.

Idąc dalej, istniał zapomniany już zupełnie dziś zwyczaj – *młodziankowie*. Po świętach Bożego Narodzenia, w dniu 28 grudnia kawalerzy chodzili po wsi, od domu do domu i wybierali najlepszą pod każdym względem małżonkę.

Co to znaczy: najlepszą małżonkę?

To taka kobieta, która umie dobrze gotować, sprzątać, ubrać się ładnie, udekorować swój dom i która pięknie wygląda przy swoim mężu. Kiedy dokonali już wyboru, przychodzili do domu wybranej mężatki, przykładali deseczkę do tylnej części jej ciała i lekko uderzali witką. Całemu wydarzeniu towarzyszył śpiew i dobra zabawa. Zwyczaj ten miał zapewnić młodej mężatce szczęśliwy poród dziecka. Małżonek wyrażał duże zadowolenie, że wybrano jego żonę, często zapraszał kawalerów na poczęstunek.

Tato mi opowiadał, że pamięta z dzieciństwa, jak przed Wielkanocą chłopcy chodzili z *klekotacami*. Co to było?

W Wielki Piątek i Wielką Sobotę grupa młodych chłopaków godzinę przed nabożeństwem w kościele obchodziła wieś z grzechotkami i *klekotacami*, wypowiadając słowa: *poćcie ludzie do kościoła, beme mówić boskie słowa*. Podczas

Chodzenie z koniem

fotografie: Elżbieta Łukuś



przejścia przez wieś wykonywali sporo hałasu, aby wszyscy mogli ich usłyszeć. Czyniono to dlatego, że dzwony na czas Triduum Paschalnego były zawiązane i nie mogły wydawać żadnych dźwięków.

A ten dzisiejszy zwyczaj z *ogrywaniem moji*, jak wyglądał dawniej?

Na całym Spiszu w Zielone Świątki kawalerzy *ogrywali moje*. Wcześniej *stawiali smyrecki* przy każdym domu, w którym mieszkały panny lub panna. Postawienie drzewka – *smyrecka* – było uzależnione od urody dziewczyn. Dzisiaj zwyczaj ten we wsi przejęli strażacy, którzy idą od domu do domu, niosąc ozdobione drzewko i śpiewając pieśni ku czci Matki Bożej. Zupełnie odmienna forma *ogrywania moji* występowała dawniej w Łapszach Niżnych. Dwóch kawalerów przebierało się za parę Cyganów. Mieli ze sobą koszyk i *popkę*, chodzili po wsi.

Co to takiego: *popka*?

To najzwyklejsza lalka. Kawalerzy odwiedzali łapszan, prosząc ich o datki, skarżąc się przy tym na swoją biedę i na brak środków na wychowanie dzieci. Towarzyszyła im grupa młodzieży śpiewająca religijne pieśni. Każdy gospodarz dawał zapłatę w postaci datków pieniężnych. Jeżeli pan domu nic nie dał, przebrane cyganki zabierały coś ze stołu czy szafki i uciekały. Dlatego gospodarze zawsze dawali zapłatę. Najmłodsi mieszkańcy mieli tego dnia wiele zabawy, czynili pso-ty i figle. Między innymi rzucali świeżymi jajkami w parę przebranych cyganów – co czyniło im wielką radość. Łapsze Niżne to dzisiaj jedyna spiska wieś, gdzie nie występuje taniec przy *moju*.

Rok temu widziałem, jak *palili króla*. Dawniej było tak samo?

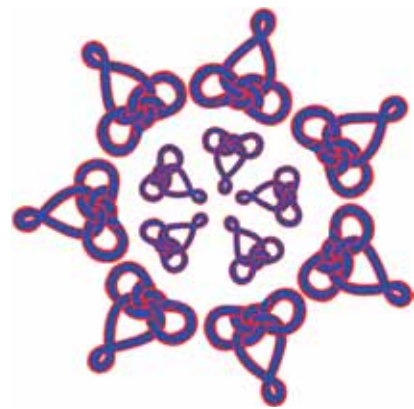
Było podobnie. W wigilię odbywającego się 15 sierpnia odpustu Najświętszej Maryi Panny, zwanego w Łapszach dużym odpustem, młodzi chłopcy zbierali się na wzgórzach i palili tak zwanego króla, którym był drewniany krzyż lub hostia. Zawieszano na nim pojemniki – puszki metalowe wypełnione żywicą z drzew. Następnie stawiano taki krzyż lub hostię i około północy tego dnia zapalano. Teraz niestety trochę to zaniedbano i zmieniono ten zwyczaj, aktualnie młodzież głównie bawi się tylko i niestety często nadużywa alkoholu. Warto przypomnieć, że ten zwyczaj palenia miał korzenie pogańskie.

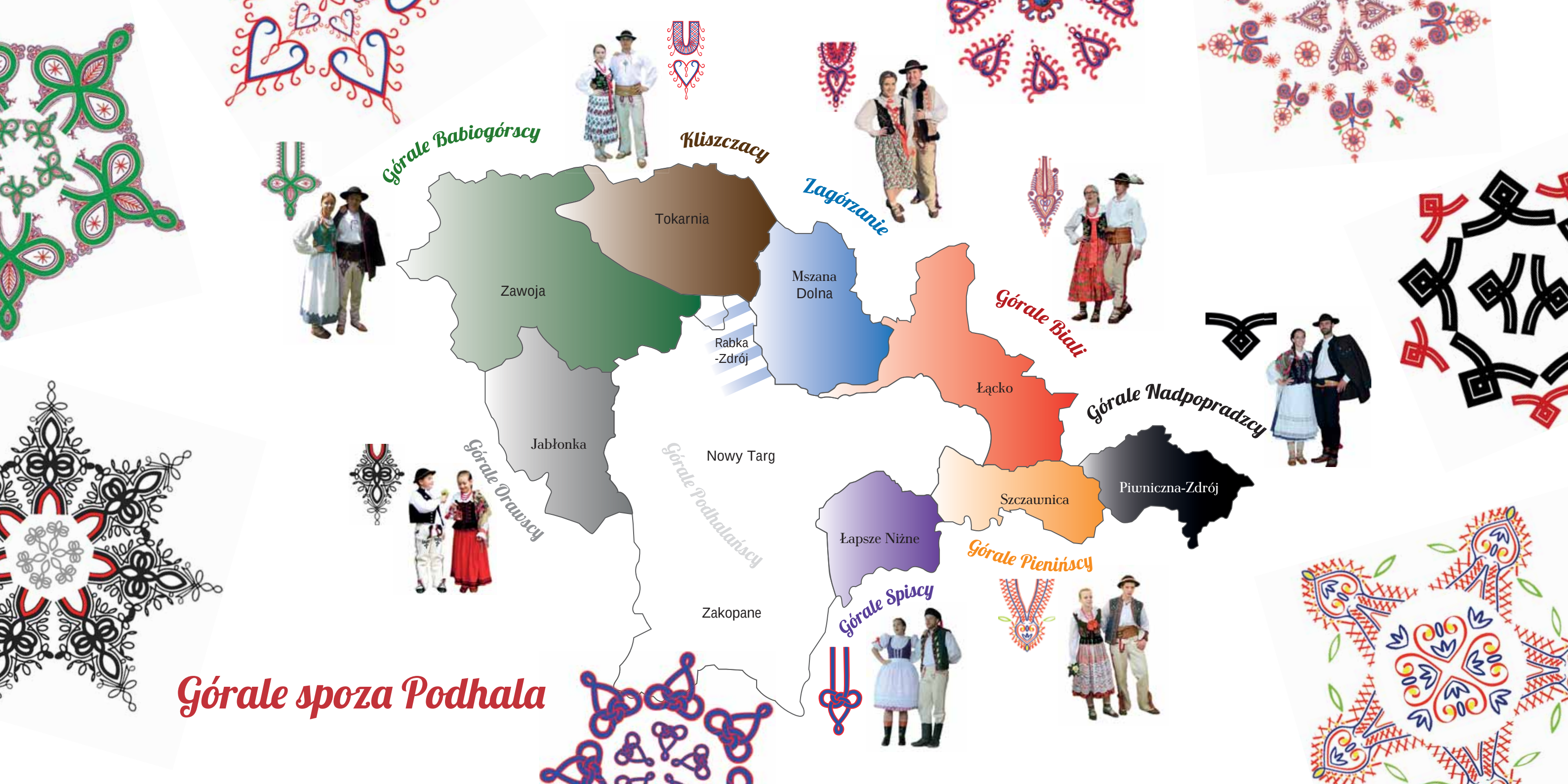
Słyszałem o *uywodzie*. Co to takiego?

Wywód to zwyczaj nie tylko łapszański, w wielu innych regionach świata też występował. Postaram się ci to wytłumaczyć. Kobieta po urodzeniu dziecka nie mogła od razu wejść do kościoła i uczestniczyć we mszy świętej, tylko pozostawała w tak zwanym babińcu – przylegającej do kościoła przybudówce. Nie mogła też iść na chrzest dziecka ani wykonywać żadnych czynności w gospodarstwie. Dopiero kiedy ksiądz pozwolił (około 1-2 dni od porodu, chociaż w niektórych regionach było to dłużej), kobieta przychodziła do babińca i czekała tam, a następnie ksiądz uroczystie wprowadzał ją do kościoła. Tego zwyczaju nie zapomniano, lecz zniósł go sobór watykański. Sama pamiętam, jak przy narodzinach wujka, brata twojego taty, czekałam tak w babińcu i ksiądz wprowadzał mnie uroczystie do kościoła. Potem była już normalna msza święta.

Babciu, poznałem wiele ciekawych tradycji. Bardzo dziękuję ci za rozmowę.







Górale spoza Podhala



Górale Drowscy



Polscy Drowianie mieszkają w 14 wsiach po południowej stronie Babiej Góry, między innymi w Jabłonce, Lipnicy Wielkiej, Lipnicy Małej, Zubrzycy Górnej i Dolnej, Drowce, Podwilku i Chyżnem. Większa część historycznej Drowy leży dziś w granicach Słowacji.

Górale Drowscy noszą na portkach czarne parzenice. Niegdyś budowali charakterystyczne chaty z wyżką i przedwyscem. Oprócz pasterstwa i rolnictwa byli znani jako dobrzy stolarze, cieśle i murarze. Mieszkańcy Jabłonki i Piekienika przez wieki trudnili się również wydobywaniem torfu, który kiedyś wykorzystywano głównie jako opał. Drowianie byli także znani z produkcji płótna i jego farbowania.

Dzień na Orawie 60 lat temu

Katarzyna Smoleń

Koniec lat sześćdziesiątych. Wieś orawska. Czasy naszych dziadków i pradiadków.

Wokół rozciąga się malowniczy krajobraz z widokiem na urokliwą Babią Górę i budzące zachwyt swoją tajemniczością Tatry. Jest sobota, koniec lipca. Pierwsze promienie słońca padają na krętą glinianą drogę. Słyszać piejącego koguta, który budzi mieszkańców wioski.

Chałupy są duże, podobne do siebie, a zarazem oryginalne. Stoją bardzo blisko drogi. Wyżka – ten element jest dla nich najbardziej charakterystyczny. Spichlerz usytuowany jest na strychu pod stromym dachem. Towarzyszy mu ganek – ciągnący się wzdłuż frontowej ściany pod okapem – na który wchodzi się od wewnątrz budynku. Domy nie posiadają kominów. Do wydostania się dymu na zewnątrz wystarcza otwór w suficie zwany woźnicą i półokrągłe dymniki w szczycie dachu.

Dach pokryty jest złocistą słomą. Ludzie nazywają to *kicokami*. Powale domu podtrzymuje bogato rzeźbiony tragarz. Nad drzwiami także znajdują się zdobienia. Wszystkie okna są małe i drewniane. W środku – sieni i dwie izby, biała oraz czarna. W białej znajduje się masywna szafa, stół i gięte krzesła wykonane z drewna. Na ścianach wiszą liczne obrazy z wizerunkami świętych. W czarnej izbie jednak o wiele skromniejsze wyposażenie, chociaż to tutaj stoi piec do gotowania.

Gospodyni już krząta się po chałupie. Ma na sobie krótką lnianą, zakończoną ozdobną kryzą koszulę z rękawami sięgającymi do łokci oraz długą, szeroką spódnicę w granatowym kolorze z białym malutkim roślinnym wzorem, zwaną suknią.

W piecu iskrzy się ogień. Ze zrobionego poprzedniej nocy ciasta gospodyni upiecze bochenki świeżego chrupiącego chleba na cały najbliższy tydzień. Słyszać kroki gospodarza. Nadchodzi, ubrany w sięgającą do pasa płócienną koszulę oraz spodnie uszyte z sukna. Nie traci czasu i zagląda do pomieszczeń gospodarskich. W stajni wszystko jest na swoim miejscu: cztery krowy, dwoje cieląt, trzy świny, gęsi, kury, kogut... Zwierzęta cieszą się na jego widok. Po jakimś czasie wykarmione, a krowy również wydojone, gospodarz wypuszcza na zewnątrz. Z chałupy wybiegają radosne dzieci. Dziewczynki, otwierając furtkę kurnika, wypuszczają kury oraz wyprowadzają gęsi, a chłopcy zabierają krowy na pastwisko. Ta praca jest dla nich codziennością, ale zawsze wykonują ją z uśmiechem. Pomaganie rodzicom i szacunek dla nich jest rzeczą najważniejszą.

W oddali rozciąga się las. Pomiędzy drzewami wędruje grupa ludzi. Trzymają oni w rękach wiklinowe koszyki. Zbierają grzyby i szyszki. Grzyby, by później je ususzyć na piecu bądź słońcu, a szyszki, by sprzedać je kupcom.

Dalej widać rozległe pastwiska oraz pasące się na nich liczne gromady owiec. Nie może tutaj zabraknąć juhasa. Już po chwili pojawia się, a wraz z nim duże psy o białej sierści, które są mu zawsze wierne i posłuszne. Owce traktuje, jakby były one jego własnymi dziećmi. Zawsze każdą z osobna pielęguje i wszystkie przelicza.

Juhas pomaga bacy. Bacówka – to właśnie w tym miejscu powstają pyszne kulinarne specjały bacy: zyntyca, oscypki, biały ser, bryndza. Ta wytwórnia nabiału to właściwie szalas, nazywany również kolibą. Został on wzniesiony z drewna i posiada konstrukcję zrębową. Budynek ten jest jednoizbowy, z dachem czterospadowym, krytym dranicami. Baca



Na Orawie...

fotografie: Katarzyna Flaszczyńska



sypia na pryczy w kącie szalasu, a juhasi na położonych wprost na ziemi derkach lub workach wypełnionych słomą. Centralnym i kluczowym miejscem jest watra, czyli ognisko płonące przez cały sezon. Nad ogniskiem, pomiędzy ścianami, umieszczona jest żerdź, na której zawieszono drewniany hak z gałęzi zwany „*jadwigą*”. Wisi w nim kocioł służący do podgrzewania mleka i drugi, mniejszy, do gotowania stawy. Na ścianach wiszą półki, na których zgromadzone są pasterskie naczynia i owe pyszne, wspomniane wcześniej specjały bacy. Nie ma we wsi mieszkańca, który choć raz nie delektowałby się tymi smakami.

Słysząc dźwięk bijących dzwonów. Wybiła godzina dwunasta. Wszyscy przerywają pracę w polu, by wspólnie, w skupieniu odmówić modlitwę *Anioł Pański*. Po chwili wracają do swoich zajęć. Grabie i widły znów są w ruchu. Słońce mocno przygrzewa. Założenie na głowę okrycia staje się niezbędne. Kobiety mają na sobie chustki, a mężczyźni kapelusze. Pochłonięci pracą i rozmowami, zwalają siano z kop i zagrabione kładą na wóz. Gospodarz zabezpiecza furę drewnianą belką i rusza wozem, popędzając zaprzęgnięte konie. Siano należy przerzucić do stodoły, by potem móc nim karmić zwierzęta.

Koniec lata to również okres pielęgnacji buraków i kapusty poprzez wyrywanie chwastów oraz innych szkodliwych roślin. Robią to kobiety, zwinnie kopiąc motykami ziemię. Słysząc piękny śpiew ptaków i stukanie dzięcioła. Lato w pełni.

W jednym z gospodarstw mężczyźni zajmują się stryżeniem owiec. Z wełny powstaną nowe skarpety czy swetry. Z okazji zbliżającej się świątecznej niedzieli gospodyni zabija kurę, usadzając ją na pniu i odcinając głowę dynamicznym ruchem siekierą. Później martwą kurę kładzie do metalowej miski i zalewa wrzątkiem, co pomoże w usunięciu piór. Po oskubaniu zwierzęcia patroszy je, a pozostałości piór na skórze wypala za pomocą ognia. Potem moczy mięso w zimnej wodzie. Drób jest przygotowany do tego, by ugotować z niego tradycyjny rosół.

Po jakimś czasie na polu można zauważyć jaskółki, które latają bardzo blisko ziemi. Ich niski lot rzekomo zwiastuje zmianę pogody, wiążącą się z opadami deszczu. Ponadto nad Babią Górę nadciągają chmury. Mieszkańcy mówią: *Babio Góra dymi? Pogoda się zmiyni!* To się okaże.

Orawską wieś wzbogaca kręta rzeka Lipniczanka. Kobiety wspólnie spotykają się przy praniu brudnej bielizny. Czas umilają im rozmowy i planowanie kolejnych zajęć. Jednym z tych zajęć są porządki, bo sobota to również czas gruntownego sprzątnięcia. Najważniejsze jest umycie mocno zabrudzonej podłogi. Kobiety szorują foszty i *rajbią* (myją) kobierce za pomocą *rajbacek* (szczotek) bądź ryżówek.

Pogoda nagle ulega zmianie. Nadciąga burza. Uderzają pioruny, a rozlegający się grzmot budzi strach. Gospodarze wierzą, że to *Aniołowie sprzątają w niebie*. Gospodyni szybko zapala świecę – gromnicę – i stawia ją przy oknie. Wierzy, że to dzięki niej chałupa zostanie ochroniona przed wrogimi piorunami. Domownicy odmawiają modlitwę.

Słysząc dźwięk dzwonów, które jeden z gospodarzy rozhuśtał w dzwonnicy, by rozproszyły się burzowe chmury, jak wierzą mieszkańcy – przyciągnięte przez planetnika.

Dzisiejsza burza należy już do przeszłości. Pracowity dzień dobiega końca, słońce chyli się ku zachodowi. Słysząc grające instrumenty. Młodzież wykonuje taniec zwany gymbuską. Wszyscy tańczą w kole, ustawieni twarzą do siebie. W samym środku stoi jedna z dziewczyn i trzyma w rękach chusteczkę. Po chwili kładzie ją na ziemi przed jednym z chłopców. Chłopak chce uklęknąć, ale ona szybko wyrywa chustkę. Gdyby mu się udało, pocałowałby ją i razem po- grążyliby się w tańcu. Zabawa jednak trwa dalej. Wszyscy pozostali uczestnicy tańczą w kółku, śpiewając: „I ty Polka i ja Polka / Obie my Polusie / Kiebyś była dobra Polka / Dałabyś mi gymbusie”. Skrzypce i akordeon nazywany heligonką umilają śpiew swoimi dźwiękami.

Nadchodzi również czas na taniec nazywany tyrci polką. Tancerze, osobno chłopcy i dziewczęta, ustawieni są w dwóch szeregach. Wykonują krok skrzyżny i śpiewają piosenkę: *A ta polka tyrcipolka ta sie piykanie tańcuje, kto je nie wiy, nie rozumiy, niech sie za nie nie biere*. Potem szeregi zbliżają się do siebie i następuje zamiana miejscami. Chłopcy kładą kapelusze na ziemi i tańczą przed nimi. Potem młodzież dobiera się w pary. Taniec kończy się obrotowym ruchem. Wszyscy z uśmiechem na twarzy klaskają w dłonie.

To nie koniec zabaw. Na płaszcach nie brakuje również „kotecki”. Uczestnicy ustawiają się w dwóch szeregach. Tańczy głównie jedna z par. Ona w rekach trzyma chusteczkę, a on usiłuje jej ją odebrać. Tańczą polkę, po czym przechodzą na koniec szeregu. Kolejna para zaczyna zabawę.

Wspólne spotkania rodzą również wiele nowych relacji. Już jeden z chłopaków zaleca się do urodziwej panny. Ta, w dowodzie sympatii, ofiarowuje mu swoją chustkę. Świadomy, że zgodziła się z nim „chodzić”, jest uszczęśliwiony, i para wraca do wspólnej zabawy.

Każdy dzień w dawnej orawskiej wsi był inny. Ten, pełen przygód i pożytecznej pracy, dobiegł końca.

Bibliografia:

Kultura ludowa górali orawskich, pod red. Urszuli Janickiej-Krzywdy, Kraków, 2011

Bożena Lewandowska, *Folklor muzyczny*, w: *Kultura ludowa Górali Babiogórskich*, pod. red. Urszuli Janickiej-Krzywdy, Kraków 2010, s. 335 nn.

Regina Kudzia, *Demonologia*, w: *Kultura ludowa Górali Babiogórskich*, pod. red. Urszuli Janickiej-Krzywdy, Kraków 2010, s. 335 nn.

Grzegorz Graff, *Pasterstwo i gospodarka hodowlana*, w: *Kultura ludowa Górali Babiogórskich*, pod. red. Urszuli Janickiej-Krzywdy, Kraków 2010, s.106-107



Rodzina Świdroniów z bukrętą na Matkę Boską Zielną
w zubrzyckim skansenie, fot. R.Ciok

Lipnickie moje

Ewelina Węgrzyn

Tradycja stawiania *mojów* przybyła do nas z zagranicy, a dokładnie z Austrii i Słowacji. Zwyczaj ten znany jest także w innych regionach, min. na Spiszu i na Śląsku¹.

Co kryje się za słowami „stawianie *moja*”? Przede wszystkim jest to odwieczna tradycja orawska. W nocy z 30 kwietnia na 1 maja kawalerowie stawiali *moje* przy domach dziewczyn, w których się zakochali. Był to dla tych kawalerów i dla innych znak, że są one już „zajęte” – mają swoich wybranków. Towarzyszyło temu całonocne czuwanie, w razie, gdyby ktoś inny chciał *moja* ściąć. Na takim *moju* przybita była oczywiście tablica z dedykacją dla konkretnej dziewczyny. W ten sposób nawet najbardziej nieśmiały chłopak mógł powiedzieć swojej przyszłej drugiej połówce, co do niej czuje.

Moj to żerdka (tyczka) z wiecznie zieloną choinką przyczepioną u samej góry. Zazwyczaj drzewkiem tym była sosna lub jodła, ponieważ oba drzewa nie tracą swojej zieleni. Taka choinka była zawsze przyozdobiona – na przykład bibułą lub jakimiś ręcznie robionymi ozdobami.

Moj był wyznaniem miłości. Zielone drzewko to symbol ukrytej życiodajnej energii – poprzez postawienie *moja* coś, co było niedojrzałe, przeradzało się w prawdziwy związek dwojga ludzi, bądź też nadawało temu związkowi początek.

Moja ścinało się w Zielone Świątki, a dziewczyna, dla której był postawiony, była zobowiązana do zorganizowania poczęstunku i ugoszczenia kawalera oraz jego kompanów. Ściętego *moja* rąbano i palono w ognisku, aby wszystko, co na nim zapisane, zostało spełnione. Towarzyszyła temu wszystkiemu muzyka, grana przez kapele, którą tradycyjnie przyprowadzali chłopcy. Biesiadowanie przy ognisku, zabawie i muzyce trwało do rana.

¹ „Kurier Orawski”: „Pierwsze pisane informacje o *mojach* w Europie pochodzą z 1255 roku. Stawiano je wówczas jako przejaw czci i życzliwości przed kościołami, ratuszami, domami zamożnych i poważanych osób, a także przed domami dziewcząt cieszących się szczególnym powodzeniem. Moje stawiały wówczas m.in. we Włoszech, Niemczech czy Szwecji. Nie wiadomo, kiedy dokładnie zwyczaj zawędrował w rejony Śląska i Karpat i rozpowszechnił się po polskiej jak i słowackiej stronie Orawy. W 1839 r. panowie Zamku Orawskiego wydawali surowy zakaz stawiania *moi*, by chronić lasy przed dewastacjami. U końca XX wieku tradycja wyraźnie zanikała, ale z początkiem nowego stulecia nagle odrodziła się z nową siłą. Niemala w tym zasługa dorocznych konkursów organizowanych przez samorządy. Warto też zauważyć, że na Słowacji specyfika tamtejszego podziału administracyjnego – gdzie każda wioska stanowi samodzielną jednostkę gminną, której ambicją jest wylegitymowanie się kultywowaniem tradycji, w tym wypadku zorganizowaniem oficjalnego pokazu stawiania *moja* – sprawia, że w XXI wieku obyczajowość wraca do swoich średniowiecznych, zachodnioeuropejskich korzeni. W czasie specjalnie zaaranżowanych uroczystości wysokie wiechy stają tam przed budynkami samorządowymi, kościołami i na centralnych placach.

W Niedzicy na *moje* przeznaczano świerki z przecinki. Podobnie było w Kacwinie. W tej wsi nawet najmłodsza dziewczynka dostawała swoje drzewko. W Krempachach olszynowymi *mojami* raczono tylko starsze dziewczęta w wieku szkolnym lub panny na «wydaniu» – przytaczamy relację za serwisem dursztyn-spisz.pl – «Z kolei w Łąpszach i w Falsztynie strażacy obchodzili wieś z jednym, iglastym drzewkiem. Obchód zaczynali przy kościele odśpiewaniem pieśni ku czci Matki Bożej. W Dursztynie zwyczaj ogrywania *moji* nadal jest kultywowany. Nie stawia się ich w takiej formie, jak robią to np. krempaszanie, lecz podobnie jak Łąpszach czy w Falsztynie w dzień Zesłania Ducha Świętego delegacja strażaków zbiera się przy kościele i z iglastym mojem chodzi od domu do domu. Pochodowi towarzyszą muzycanci i przebrani za Cyganów młodzieńcy, którzy przy salwie śmiechu i wygłupach zbierają datki na swoje «dziecko».

Poza Orawą i Spiszem zwyczaj stawiania *moja* jest znany również Polakom na Śląsku i zaolziańskim Śląsku Cieszyńskim, a spotkać go można również na Morawach i Czechach, gdzie zwyczaj związany z nadejściem wiosny i połączony z aspektem miłosnym – podobnie jak na Słowacji – przeszedł ewolucję w kierunku ogólnowiejskiej okazji do spotkania. Do rangi symbolu zaliczyć można uroczystość odbywającą się na Trójstyku polsko-słowacko-czeskim”.

Lipnicki moj - stawianie i ścinanie orawskiego moja

fotografie: Katarzyna Ponicka





Tradycja stawiania *moja* trwa po dziś dzień, aczkolwiek nie jest tak bardzo rozpowszechniona jak kiedyś i rzadko kiedy *moj* dotyczy jednej dziewczyny. Jednak dalej panowie stawiają go w nocy z 30 kwietnia na 1 maja, aby w Zielone Świątki spalić go przy całonocnej zabawie.

W Lipnicy Wielkiej zwyczaj ten podtrzymuje między innymi zespół „Orawianie” im. Heródka z Przywarówki. Co roku chłopcy z tego zespołu przygotowują *moja* i stawiają go dla dziewczyn. Zespołowy *moj* zawsze bierze udział w konkursie na „Nojpiykniyjsego Gminnego Moja” od wielu lat w celu podtrzymywania i promowania tej tradycji organizowanym przez Gminne Centrum Kultury w Lipnicy Wielkiej. Chłopcy przynoszą okorowane drzewo z nietkniętym czubkiem, który później się dekoruje. Jak jest *moj*, to musi być i tablica, na której chłopcy piszą specjalny wiersz w gwarze orawskiej dla dziewczyn. 30 kwietnia wszyscy z zespołu zbierają się o danej godzinie, aby *moja* udekorować. Tradycyjnie do choiny na samym czubku dziewczyny przywiązują cienkie kolorowe paski bibuły i najładniejsze kwiaty z bibuły, które własnoręcznie zrobiły. Kiedy już wszystko jest na swoim miejscu, chłopcy stawiają *moja*.

Na Zielone Świątki o ustalonej godzinie zespół przychodzi ściąć *moja*. Gdy zetną żerdkę, chłopcy zabierają się do rąbania jej i przygotowania ogniska. Dziewczyny przygotowują kielbaski, a młodszy zawsze uważnie obserwują, ponieważ kiedy dorosną, to oni będą podtrzymywać tradycję. Gdy stos z pociętego *moja* jest już przygotowany, najmłodsza dziewczyna z zespołu zapala ognisko. Wtedy każdy nabija sobie kielbaskę na patyk i zabiera się do smażenia. Cały zespół gromadzi się wokół ogniska. Towarzyszą mu muzyka, śpiew, tańce i wspaniała atmosfera.

Stawianie *moja* to niewątpliwie jedna z najmilszych i najradośniejszych okolicznych tradycji. Jest ona podtrzymywana przez zespoły regionalne, ale także przez mieszkańców Orawy. Najwięcej *mojów* pojawia się w Lipnicy Wielkiej i na słowackiej Orawie – w Bobrowie, Zubrohlawie. Widać też, że z roku na rok coraz więcej miejscowości orawskich włącza się do kultywowania i odnawiania tego wspaniałego obrzędu, który należy nie tylko do zagranicznych krajów, ale także do Polski. A my, lipniczanie, mamy to szczęście, że mieszkamy w tak wspaniałym miejscu, w którym stawianie *moja* jest znane od dawna.

Powinniśmy przekazywać tę tradycję młodszemu pokoleniu, aby i oni za kilka lat mogli wypowiedzieć się na temat *moja*. Musimy również pamiętać, aby co roku w maju go postawić. Niezależnie, czy mamy miłość swojego życia, czy chcemy sprawić komuś radość, czy po prostu chodzi nam o podtrzymanie tradycji. *Moja* postawić trzeba, aby tradycji stało się zadość!

Źródła: rozmowy z Eugeniuszem Karkoszką, kierownikiem Zespołu „Orawianie” im. Heródka, i Janiną Karkoszką, dyrektorką Szkoły Podstawowej nr 4 im. dr Emila Kowalczyka w Lipnicy Wielkiej.



Dawne tradycje, zwyczaje i obrzędy wielkanocne na Orawie

Klaudia Nowak

Na Orawie, jak co roku, obchodzona jest Wielkanoc. Dla mieszkańców nadszedł czas przygotowań do kultywowania wielu tradycji.

Przed Wielkanocą jest Wielki Post, czas zadumy. Wspominamy wtedy czterdziestodniowy pobyt Jezusa na pustyni, a z okresem tym wiążą się różne obrzędy. Dawniej w Środę Popielcową wszystkie gospodynie wypalały rondle w ogniu, gdyż nie można było używać żadnych tłuszczów do przygotowywania potraw. Wyjątkiem był olej lniany, lecz nie każdy miał go w domu.

Każda z niedziel w poście miała swoją nazwę: po pierwszej następowała druga – *sucho*, trzecia – *głucho*, czwarta – *biolo*, piąta – *corno* i szósta – *kwietno*.

Zwyczaje orawskie nie różnią się wiele od podhalańskich. Po Wielkim Poście następowały najważniejsze dla katolików święta w roku liturgicznym.

Ważnym świętem, trwającym jeszcze w czasie postu, jest Niedziela Palmowa, zwana na Orawie kwietną. W tym dniu święcono własnoręcznie zrobione *kycicki*, czyli palmy. Tradycyjnie robiono je z gałązek wierzbowych.

„W naszym domu do bukietów dodawano gałązkę jałowca, która miała chronić przed nieurodzajem” – wspomina babcia Grażyna – „Pamiętam, jak mój ojciec na wiosnę brał jedną gałązkę i podczas orania wrzucał ją pod pierwszą skibę. To również chroniło przed nieurodzajem”.

Na Orawie palmy były skromne i małe.

„Kiedyś palmy nie były takie wysokie i kolorowe jak teraz. Robiło się je z tego, co było dookoła” – Mówi babcia Danuta.

Kolejną tradycją związaną z tym dniem, nie kultywowaną w każdym domu, było robienie bicza. Służył on gospodarzom przy wypasie krów, a ponadto miał przynosić szczęście.

Wielki Tydzień był ostatnim przygotowaniem przed dniem Wielkiej Nocy. Pierwsze trzy dni nie były tak ważne, gdyż Biblia nie wspomina o niczym, co by się w tych dniach wydarzyło. Najważniejsze były: Wielki Czwartek, Wielki Piątek i Wielka Sobota.

Zielony Czwartek, czyli Wielki Czwartek, to dzień, w którym następuje zawiązanie dzwonów. Z tym dniem wiąże się u nas zwyczaj siania kapusty, co miało zapewniać jej szybki wzrost. Obwiązywało się też sznurem drzewa i krzewy oraz oblepiało się je ciastem.

W tym dniu wykonywano kukłę Judasza ze słomy, ubierano ją w stare ubrania, a później zrzucano ją z drzewa lub z dzwonnicy. Gdy spadła, bito ją i palono w ogniu. Pan Marcin Kowalczyk z Orawskiego Parku Etnograficznego w Zubrzycy Górnej stwierdza: „To był symbol zwycięstwa życia nad śmiercią”.

Wielki Piątek był bardzo ważnym dniem, z którym wiązało się wiele obrzędów.

„Mój ojciec, bracia i ja zawsze przed wschodem słońca szliśmy do najbliższego potoku, by się obmyć. Zawsze braliśmy ze sobą wiaderko wody dla matki i sióstr” – przypomina sobie dziadek Władysław.



Święcone

fot. Xymena Smreczak



Niedziela palmowa
fot. Xymena Smreczak



Święcone
fot. Xymena Smreczak

Obrzęd obmycia symbolizował oczyszczenie się z grzechów. Często matki zostawały w domu z małymi dziećmi i córkami, ale czasem cała rodzina wybierała się nad rzekę.

Starym, lecz niepraktykowanym już zwyczajem było obcinanie włosów chłopcom, co miało im zapewnić gęste i niesiwiejące włosy na starość. Kolejnym obrzędem było robienie ziołowego masła – w nocy, przez kobiety ubrane w same koszule. Tak zrobione masło pomagało na różne choroby.

W tym dniu w kościele nie było Mszy Świętej, więc chłopcy okrążali kościoły z klekotkami. Odpędzało to złe duchy i diabła. Mieszkańcy trzymali się surowego postu.

W Wielką Sobotę, czyli Sobotę Białą, święcono pokarmy, między innymi: jajka, sól, chrzan, masło, kielbasę, słoninę, chleb, ser i kołaczki, czyli słodkie ciasto. Święcono także ogień.

„Kiedyś nie było takich pięknych jajek jak teraz. My farbiliśmy jajka wywarem z łupin cebuli” – wspominają sąsiedzi.

W końcu nadchodzi Wielkanoc. Był to dzień, w którym wykonywano tylko niezbędne prace. Czas poświęcano mszy świętej. Ważne było, by na rezurekcję szli wszyscy domownicy, nawet małe dzieci, bo istniało przekonanie, że kto w Wielkanoc nie pójdzie na mszę, ten przez cały rok będzie chorować. Istniał też przesąd, że w tym dniu nie wolno się odwiedzać.

„Rano wstawaliśmy bardzo wcześnie. Matka zawsze nas budziła, bo długie spanie mogło sprawić, że łany zbóż by się przewracały” – mówi, wracając pamięcią do dawnych czasów, babcia Grażyna.

Świąteczne śniadanie sporządzano z potraw święconych w Wielką Sobotę. Podobnie jak opłatkiem w czasie Wigilii, dzielono się jajkiem i składano sobie życzenia. U nas tak jest po dziś dzień.

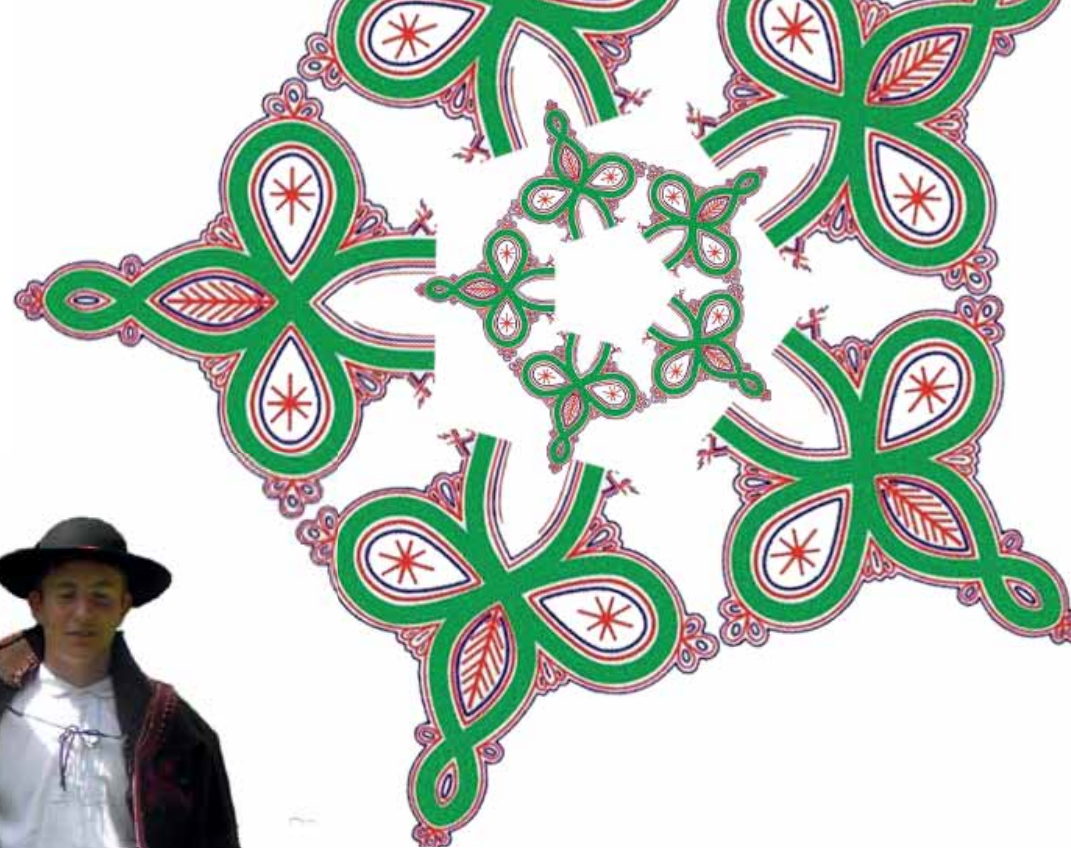
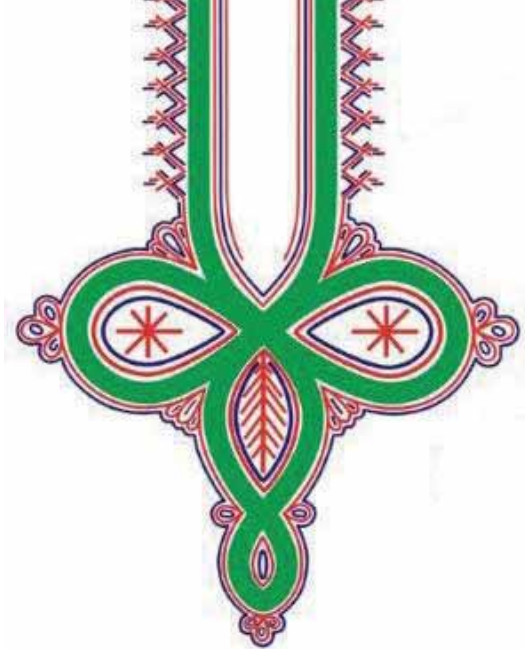
Tradycyjną potrawą wielkanocną była chrzanówka, przyrządzana z chrzanu, jajek, kielbasy i kwaśnicy.

W Poniedziałek Wielkanocny, czyli *śmigurzt*, chłopcy przychodzili do domów dziewcząt i oblewali je wodą, zwykle wchodząc na siłę. Chłopcy zawsze byli czymś częstowani. Był to pierwszy dzień, w którym można było się odwiedzać. Za polewanie chłopcy otrzymywali drobne pieniądze lub trochę jedzenia na drogę. Mogli rozmawiać z rodzicami panny i starać się o jej rękę.

Orawskie domy słynne były ze swoich ciekawych i różnorodnych tradycji i obrzędów wielkanocnych.

Źródła: rozmowy z mieszkającymi w Zubrzycy Górnej 60-letnią Grażyną Głusiak, 65-letnią Władysławą Moniak i 93-letnią Cecylią Pacholską, a także z Marcinem Kowalczykiem, etnografem z Muzeum OPE w Zubrzycy Górnej.





Górale Babiogórscy



Górale Babiogórscy mieszkają po północnej stronie Babiej Góry. Można ich spotkać przede wszystkim w Zawoi i Skawicy, ale ich wpływy sięgają na północy do Suchoj Beskidzkiej i Makowa Podhalańskiego, a na wschodzie aż do Jordanowa.

Babiogórcy na portkach mają zielone parzenice. Styną przede wszystkim z tradycji pasterskich. Co roku we wrześniu podczas festiwalu Babiogórska Jesień w Zawoi można oglądać redyk, czyli tradycyjny powrót owiec z hal, a później bawić się przy muzyce folklorystycznej.

Na przekór czasom i ludziom wbrew...

Kamil Kozina

Wywiad z Magdaleną Smyrak-Bogdan, jedyną panną młodą, która w XXI wieku wzięła ślub w stroju Górali Babiogórskich. Podzieli się z nami wspomnieniami ze swojego ślubu i opisie przygotowania związane z tym pięknym dniem.

Skąd u ciebie takie zamiłowanie do rodzimej kultury?

W moim domu zawsze szanowano szeroko pojętą tradycję, nie tylko tę związaną z góralszczyzną. Moja mama gromadziła różne rzeczy z tak zwaną duszą. Prowadziła też pamiętnik, w którym notowała stare historie i opowieści związane z naszą rodziną. Myślę, że w ten sposób, dając mi przykład, nauczyła mnie doceniać wszystko to, co stare, przeszłe...

Kiedy narodziła się myśl, by wziąć ślub w stroju góralskim?

Myśl o wzięciu ślubu w stroju góralskim narodziła się we mnie właściwie zanim znalazłam męża. Przegrzebałam kiedyś stare archiwum moich rodziców i zobaczyłam tam zdjęcia swoich przodków w strojach góralskich. Pomyślałam sobie, że byłoby cudownie zamanifestować w tym uroczystym dniu swoje przywiązanie do zawojskiej ziemi. Już wtedy wiedziałam, że jak znajdę kiedyś „mężczyznę życia”, nawet spoza naszego terenu, to po prostu przekonam go tym świeżym uczuciem [śmiech] do pomysłu o ślubie góralskim. I udało się!

Jak wyglądały przygotowania do ślubu?

Chyba na początku spodziewałam się czegoś innego. Myślałam, że nie będzie żadnych przygotowań – po prostu ubierzemy typowe stroje góralskie, z którymi byłam obyta. Okazało się, że byłam w błędzie. Znaczenie miały między innymi kolory i rodzaje haftów na gorsecie, czy chociażby rańtuch, który ktoś musiałby dla mnie przygotować. Tak naprawdę o wielu rzeczach uświadomiła mnie pani Urszula Janicka-Krzywda, którą poznałam u mojego stryja, Stanisława Smyraka.

Czy pani Urszula pomogła ci w przygotowaniach?

Tak. Okazała mi wielką pomoc. Z perspektywy czasu myślę, że dla niej była to... również przyjemność. Była tak samo zapalona do realizacji tego pomysłu, jak ja. Połączenie jej etnograficznej wiedzy i miłości do Zawoi z moim zapalem przyszłej małżonki i świadomej zawojanki sprawiła, że uroczystość była wyjątkowa. Dzięki pani Uli nie zostałam pozbawiona tej specyficznej atmosfery i zaangażowania właściwego dla typowego ślubu. Nieraz spotykałam się ze stwierdzeniem, że odebrałam sobie możliwość wystąpienia w białej sukience. Nigdy w ten sposób o tym nie myślałam. Przeciwnie – uważam, że dzięki strojowi góralskiemu byłam bardzo oryginalna.

A czy miałaś jakiś wachlarz możliwości?

Raczej nie. Pani Urszula przyniosła konkretne wzory, według których pani Wanda Kasprzakowa przeszyla mój zielony gorset. Trochę więcej możliwości miałam przy wyborze wyszycia rańtucha.

Czy tylko ty specjalnie się przygotowywałaś?

Założyłam sobie, że oprócz nas stroje góralskie ubiorą członkowie rodziny. Cieszyłam się, że więcej osób będzie prezentować tego dnia góralszczyznę. To także wymagało przygotowania i... mnożyło koszty. Obecny koszt pełnego



Ślub Magdaleny Smyrak-Bogdan i Mirosława Bogdana

fot. Piotr Fidler

męskiego stroju babiogórskiego wynosi około dwa tysiące złotych. Natomiast cena damskiego oscyluje w granicach pięciuset złotych.

Ile osób ostatecznie pojawiło się w strojach góralskich?

Poza zespołem „Juzyna”, który towarzyszył mi pod kościołem, w stroju wystąpili: mój przyszły mąż, moi rodzice, rodzeństwo oraz друзbowie. Mąż pochodzi z Suchej Beskidzkiej, w jego domu nie było zainteresowania strojem Babiogórców. Dlatego z jego strony nikt nie ubrał się po góralsku.

Operujesz podczas rozmowy nazwami takimi jak „rańtuch” lub „gorset”. Z czego w takim razie składa się ślubny strój góralski?

Strój weselny przypominał odświętny ubiór Babiogórców. Mężczyzna ubierał portki bukowe, koszulę, na którą nakładał gunię (góralski płaszcz), skórzany pas i oczywiście kapelusz. Kobieta przywdziewała natomiast białą bluzkę, płócienną haftowaną halkę, drukowaną spódnicę, białą wyszywaną zapaskę i gorset. Oboje na nogach mieli kierzce i wełniane skarpety. Kobieta zakładała też rańtuch, czyli długi, biały, haftowany płócienny szal. Nie bez powodu przypomina on obrus. Podobno panował zwyczaj ofiarowywania go przez młodą panią na ołtarz kościelny.

Czy rańtuch zakłada się na głowę?

Nic na ten temat nie wiem. Ja nosiłam go tego dnia na ramionach. Jego biel przykryła kolorowy gorset, dzięki czemu przypominałam typową pannę młodą. Zrezygnowałam z białego bukietu. Uznałam, że pomimo kwietnia i trudności ze zdobyciem polnych kwiatów, mój bukiet musi być bardzo urozmaicony kolorystycznie.

Mówiłaś, że gorset jest wyszywany w jakiś specjalny sposób. Czym różni się gorset ślubny od zwykłego?

Wcześniej wspominałam, że mój gorset weselny został przeszyty z mojego dawnego zielonego gorsetu. Zmieniona została w nim lamówka, z czerwonej na złotą. Oprócz tego wyszycie jest całkiem inne, takie bardziej odświętne. Dla laika nie jest to zapewne do rozróżnienia, ale dla znawców w tej materii to wyszycie ma ogromne znaczenie. Przekonałam się o tym, gdy wielokrotnie wypożyczałam swój gorset do opracowań dotyczących stroju ślubnego Babiogórców.

Twój gorset stał się wzorem?

Tak... jest swego rodzaju archetypem. Ma już 16 lat... Może moja córka kiedyś z niego skorzysta...

Myślisz, że jest na to szansa?

Tak sądzę. Do miłości do miejsca, w którym się mieszka, również się dorasta. Człowiek nie rodzi się z tym, tylko to nabywa. Dzięki rodzicom, najbliższym, z którymi się żyje, których się obserwuje. Dajemy dzieciom wzór. Należę aktualnie do regionalnego zespołu „Cieślica”, jestem dla Zochy [córk] przykładem żywej miłości do góralszczyzny. Często zakładałam strój, śpiewam przyśpiewki, uczę się teksów na występ. Myślę, że to pod wpływem moich zainteresowań wstąpiła do zespołu „Juzyna”. Chodziła najpierw ze mną na próby dorosłych członków zespołu, przyglądała się tańcom, przysłuchiwała radosnym śpiewom. I przekonała się, że jest to atrakcyjne. Teraz sama z zapalem uczestniczy w spotkaniach dziecięcego zespołu folklorystycznego. Lubi to. Może będzie chciała pójść w moje ślady i założyć kiedyś strój góralski na swój ślub? Wiesz, ja nie podarowałam rańtucha na ołtarz [śmiech], z premedytacją go zachowałam!

Czy podczas ślubu kobiety zakładały jakieś specjalne dodatki?

Najczęściej zakładały korale. Właśnie z tym wiąże się ciekawa historia. Dotyczy ona prawdziwych koral, które były w posiadaniu mojej mamy, a wcześniej należały do babci. Obie nosiły je z dumą tylko przy specjalnych okazjach.

Od kiedy pamiętam, przyciągały też moją uwagę. Były pielęgnowane, w specjalny sposób przechowywane w ciemnej chustce. Traktowane wyjątkowo.

Jak eksponat w muzeum?

Naprawdę! Były rzeczą niezwykle cenną. Ze względu na ślub otrzymałam je wtedy w prezencie. Poza tym, pani Janicka-Krzywda przekonała moją chrzestną matkę, Alfredę Smyrak, by ta zechciała mi do nich sprezentować krzyż wykonany na wzór krzyża maltańskiego. Zlecono to jubilerowi, i w koralach z krzyżem wystąpiłam w dniu ślubu.

Czy są jakieś konkretne zwyczaje związane ze ślubem góralskim?

Jeśli chodzi o mój ślub, to niczego takiego sobie nie przypominam. Myślę, że górale byli skromni i nie organizowali zbyt szumnych uroczystości. Pamiętam natomiast kołacz – ciasta drożdżowe z mocno przyprawionym serowym farszem, które mama specjalnie upiekła, by poczęstować gości weselnych. Atrakcję stanowiły również przyśpiewki, opracowane przez panią Urszulę, a zaprezentowane przez ówczesnych członków zespołu „Juzyna”. Były bardzo zabawne i wprawiły nas i naszych gości w radosny nastrój. Śpiewano na przykład: *nie kciałaś Magdusiu smazonego syra, wolalaś Mirusia, boś mu rado była*.

Zastanawia mnie jedna rzecz, o której przeczytałem w gazecie „Pod Diablakiem”(Nr2/2002). W artykule dotyczącym ślubu pani Janicka-Krzywda wyraża przekonanie...

[śmiech] Pewnie chodzi o to stwierdzenie, że będziemy mieć wielu następców, którzy „popelnia” ślub w strojach?!

Pani Urszula była tego pewna?

Zdecydowanie. Była mocno przekonana o tym, że śluby zgodne z dawną tradycją mogą być tak atrakcyjne, na tyle interesujące i spektakularne, że będą chciały mnie naśladować kolejne panny młode. Tymczasem od tamtego momentu nie wydarzyły się żadne zaślubiny w takiej oprawie.

Chciałabyś, żeby pojawiła się ponownie inicjatywa ślubu góralskiego ?

Tak, zdecydowanie. To mi nie odbierze mojego splendoru [śmiech] z powodu bycia pierwszą!

Strój Górali Babiogórskich prawie całkowicie wyszedł z użycia na początku XX wieku. Został odtworzony pod koniec lat 80. minionego stulecia w oparciu o materiały archiwalne i publikacje¹, a rozpowszechniony w latach 90.². Kluczowym momentem był Konkurs na Strój Górali Babiogórskich w roku 2001, podczas którego zaprezentowano wszystkie stroje babiogórskie.

W skład „paradnego” stroju babiogórskiego wchodzi:

damski: gorset, zapaska, bluzka, halka, spódnica, wełniane skarpety, kierzce. dodatki, np. korale;

męski: koszula, portki, gunia, pas, kapelusz, kierzce, wełniane skarpety.

Magdalena Smyrak-Bogdan oraz jej mąż Mirosław byli pierwszą parą, która wzięła ślub w stroju góralskim po jego rekonstrukcji.

¹ U. Janicka-Krzywda, *Strój*, w: *Kultura ludowa Górali Babiogórskich*, U. Janicka-Krzywda (red.), Centralny Ośrodek Turystyki Górskiej PTTK, Kraków, 2010, s.170,184

² J. W. Bucka, H. Bucki, *Całym sercem była oddana babiogórskiemu folklorowi!*, w: *Urszula Janicka Krzywda – Życie niebanalne*, K. Barańska, W. A. Wójcik (red.), Centralny Ośrodek Turystyki Górskiej PTTK, Kraków, 2017, s. 29-30



Święcone
fotografie: Karina Trzebuniak

„Dopięte na ostatni guzik” - babiogórski strój regionalny

Zuzanna Zajac

Rozmowa z panią Józefą Dolech, która zajmuje się szyciem strojów regionalnych Górali Babiogórskich. Zgodziła się opowiedzieć o swoim zajęciu i pokazać swoje miejsce pracy.

Szyje pani stroje babiogórskie. Jak długo się tym pani zajmuje?

Moja przygoda z szyciem strojów regionalnych zaczęła się około 20 lat temu.

Od czego się zaczęła?

Od bardzo dawna lubię szyć, zresztą to mój wyuczony zawód. Pewnego razu przyszli do mnie członkowie zespołu regionalnego „Juzyna” i poprosili, abym uszyła dla nich stroje. Tak wyglądał początek mojej pracy. Na początku nie znałam wzorów haftów regionalnych, dlatego też musiałam korzystać z publikacji opracowanych przez dr Urszulę Janicką-Krzywdę, która w tamtym czasie była kierownikiem artystycznym zespołu.

Jak wygląda pani pracownia?

Profesjonalnej pracowni nie posiadam. Pracuję w niedużym pokoju, w którym mam maszynę i inne potrzebne mi rzeczy.

Ile czasu musi pani poświęcić na to, aby uszyć cały strój damski i męski?

Szycie i haftowanie to bardzo pracochłonne zajęcia. Aby uszyć cały strój damski, muszę pracować około tygodnia, zaś na strój męski muszę poświęcić około dwóch tygodni.

A czy wprowadza pani jakieś zmiany we wzorze?

Przyznam, że tak. Czasami wprowadzam zmiany według własnego pomysłu, na przykład w hafcie na koszuli czy bluzce. Gorset szyję według wzoru, gdyż tam nie mam takiej swobody.

Z jakich części składa się strój babiogórski?

Damski składa się z białej bluzki, gorsetu, halki, spódnicy oraz zapaski. Natomiast męski to portki bukowe, biała koszula i gunia.

Gunia – można powiedzieć, że to góralski płaszcz, bardzo ozdobny. Czym się charakteryzuje?

Gunia jest szyta z brązowego sukna, wiązana pod szyją na sznureczku. Robi się ją z kwadratu, który się obszywa i wywija. Po odpowiednim wywinięciu jest ozdabiana kręconymi z wełny kolorowymi nitkami. Gunia jest bogata w hafty. Z przodu na krawędziach oraz na kołnierzu widnieje geometryczno-roślinny motyw wyszywany bardzo barwnie, lecz z przewagą koloru czerwonego, mającego chronić przed urokiem. Ważnym motywem wzoru jest uproszczony symbol drzewa, który w kulturze ludowej jest przedstawieniem trzech światów: ziemskiego, pozaziemskiego i niebiańskiego.

Którą część stroju lubi pani szyć najbardziej?

Wydaje mi się, że gorset.

Zespół Juzyna

fotografie: Michał Sośnicki





A jak on wygląda?

Na babiogórskim gorsecie widnieją tak zwane haftowane leluje i *kwiatusie*. Znajdują się one na piersiach kobiety oraz na plecach. Mają formę gałązki kwiatowej, kształtem przypominają motyw drzewa życia. Na suknie w wielu kolorach – zielonym, chabrowym, bordowym czy czarnym – staram się tak dopasować nitki, żeby wzór był piękny i odpowiadał wzorom opracowanym przez etnografów. Jest bardzo przyjemny w wyszywaniu, bo można się bawić kolorami. Nadaje się je lnianymi lub cienkimi wełnianymi nićmi w kolorze ciemnożółtym, zielonym, bordowym oraz szafirowym. Przy dekolcie oraz wokół pach gorset ma charakterystyczne pętelki, wyszywane łańcuszkiem, najczęściej czerwone. Mężatki nosiły zazwyczaj gorset w kolorze czarnym, natomiast pozostałe kobiety nosiły gorsety zielone, chabrowe oraz bordowe.

A czy jest taka część stroju, którą trudno uszyć?

W szyciu stroju regionalnego nie ma nic trudnego. Są tylko części bardziej i mniej pracochłonne. Najwięcej czasu poświęcam na szycie i haftowanie guni i spodni. Jest to spowodowane przede wszystkim grubością sukna. Wiadomo, że jeśli materiał jest cieńszy, praca jest dużo łatwiejsza, przyjemniejsza i szybsza. Jeśli zaś jest grubszy, muszę poświęcić więcej czasu.

Dlaczego męskie spodnie nazywane są portkami bukowymi?

[śmiech] Myślę, że dlatego, iż są grube jak drewno bukowe. Ale czy to prawda? Wiem, że są wykonywane z bardzo grubego i wytrzymałego materiału i pewnie dlatego są porównywane do solidnego drewna bukowego.

Słyszałam o damskiej koszuli zwanej *jadwiśką*. Jak ona wygląda?

Jadwisia szyta jest przeważnie z materiału w kolorowe kwiatuszki, ma cztery szczypanki z tyłu oraz trzy z przodu. Z przodu jest zapinana na guziczki. *Jadwiśka* jest elementem stroju codziennego, a u osób starszych może być wykorzystywana także w stroju wyjściowym.

A co może pani powiedzieć o spódnicy?

Wszystko zależy od tego, o jakiej spódnicy mówimy. Są bowiem spódnice jednolite oraz w kwiaty. Wszystkie kiedyś były wiązane na tasiemce, lecz teraz są robione na gumce. Tasiemka bardzo ułatwiała, taką spódnice mógł ubrać każdy, niezależnie od wieku i figury. Zazwyczaj była ona szeroka, bo na jej uszycie potrzebne było aż dwa i pół metra materiału. Na początku były spódnice jednolite. Następnie zaczęto nosić spódnice w drobne, białe kwiatuszki na granatowym tle. Później, w okresie międzywojennym, gdy zaczęli się tu pojawiać letnicy, zaczęto nosić spódnice w duże kolorowe kwiaty, na miejską modę.

Co odróżnia strój babiogórski od innych strojów regionalnych?

Na pewno odróżnia nas wyszycie. U mężczyzn na spodniach widnieją charakterystyczne parzenice. U kobiet zaś najważniejszą część stanowi wzór na gorsecie. Strój świadczył o pochodzeniu człowieka, jego pozycji społecznej oraz statusie materialnym.

Czy sprzedaje Pani stroje?

Nie prowadzę firmy. Stroje szyję na zamówienie. Najwięcej ich wykonuję dla zespołów regionalnych, takich jak „Juzy-na”, „Cieślica”, „Zbójnik”, „Zbyrcok”, „Zbyrcocek Mały” oraz innych. Można powiedzieć, że informacje o mnie rozcho-dzą się taką „pocztą pantoflową”, to znaczy, że jestem polecana przez osoby, którym wykonałam strój.



W świecie beczek

Julia Janik

Bednarstwo to bardzo ciekawa profesja, którą trudni się niewiele osób. W regionie babiogórskim te tradycje jeszcze nie umarły. Pozostała jedna osoba zajmująca się tym rzemiosłem – pan Ryszard Zajda, ostatni bednarz pod Babią Górą.

Czym się pan zajmuje?

Jestem bednarzem. Wiele osób nie wie, co to za zawód i na czym on polega. Nie ma dużego popytu na taką formę pracy. Po prostu dawno odeszła w niepamięć. W końcu jestem ostatnim bednarzem spod Magurki...

Magurki?

Mówię o naszych terenach. Nigdy nie spotkałem u nas kogoś, kto trudnił się tym samym zawodem, co ja.

Co robi bednarz?

Moja działalność związana jest głównie z drewnem. Zajmuję się wyrobem naczyń, wiader, form do ciast, maselnic, przedmiotów potrzebnych bacom na hale i do bacówki. Tworzę również beczki.

Czy pański zawód różni się czymś od zawodu stolarza?

Z całą pewnością. Stolarz tworzy różne rzeczy, poczynsz od drzwi po boazerię. Bednarz zajmuje się jedynie bednarką. Robi to, co mniejsze i bardziej okrągłe.

Pracuje pan ręcznie czy z wykorzystaniem maszyn?

Większość pracy muszę wykonywać ręcznie. Mam maszyny, które niby używam, ale głównie trzymam się starych bednarskich reguł.

Jak wygląda miejsce, w którym pan pracuje?

Wszystkie przedmioty wykonuję w warsztacie, który stoi przy moim domu.

Wspomniał pan przed chwilą o starych bednarskich regułach. Od kogo otrzymał pan tę wiedzę?

Od dziadków i pradiadków. Już oni rozpoczęli przygodę mojej rodziny z tą branżą. Mogę więc śmiało powiedzieć, że bednarstwo mam we krwi.

Czy rodzinna tradycja wpłynęła na pana tak znacząco, że wybrał pan akurat ten fach? Czy były inne powody ku temu?

Bednarstwo jest dla mnie ciekawym zajęciem. Już od dzieciństwa bardzo lubiłem bawić się drewnem. Ojciec pracował w zawodzie, podpatrzyłem co nieco i sam zacząłem tworzyć. Tak rozpoczęła się moja przygoda. Lubię to, co robię.

Jak dawniej wyglądała praca bednarza?

Najpierw trzeba było ściąć drzewo. Pamiętam, jak jeździłem dawniej z synami do lasu. Później drzewo cięło się na klocki (*gnotki*) o odpowiednich wymiarach. Po rozwarstwieniu (*szczypaniu*) klepki, strugało się ośnikami. Następnie

Bednarz

fotografie: Michał Sośnicki



za pomocą *modłów* (narzędzie do mierzenia) określano odpowiednie wymiary i z pomocą *spustu* (struga) docinano. Później zbijano, i powstawała gotowa beczka czy cebrzyk.

Jak od tamtego czasu zmieniła się bednarska technika?

Teraz zamawiam deski, przecinam je na listwy, później na klepki. Następnie odpowiednio docinam. Wszystko zależy od wykonywanego przedmiotu. Korzystam także z dobrodziejstw technologii. Na przykład obrabiam drewno za pomocą papieru ściernego, czego wcześniej nie robiłem.

Jakich innych narzędzi pan używa?

Głównie wałków do czyszczenia, tarcz, przeróżnych frezów. Drewno trzeba odpowiednio frezować.

Zajmuje się pan konserwacją?

Nie, ale sporadycznie nacieram drewno olejem roślinnym. W niczym to nie przeszkadza, a nawet drewno łatwiej się czyści. Przy kontakcie z żywnością sprawdza się jedynie ten olej. Żadne lakiery nie wchodzi w grę.

Ma pan jakiegoś znajomego lakiernika, do którego wysyła pan przedmioty?

Nie. Ja w ogóle się tym nie trudnię. Klienci sami decydują, co zrobią z produktem, każdy według własnego uznania.

Jakiego rodzaju drewna pan używa?

Przede wszystkim świerkowego i jodłowego, bo są miękkie i łatwe w obróbce.

Ile pan już pracuje w tym zawodzie?

Około czterdzieści lat... Robię to z zamiłowaniem.

Czuje się pan wyjątkowo w swojej dość rzadkiej specjalności?

Czy ja wiem... Po prostu lubię to, co robię, a co mnie z roku na rok coraz bardziej wciąga.

Co przeważa teraz w zamówieniach, które pan dostaje? Nadal utrzymuje się duży popyt na beczki?

Na przykład szwajcarskie firmy zamawiają ode mnie drewniane skopce, które później wykorzystują w saunach. Natomiast Francuzi drewniane cebrzyki, do których wkładają szklane misy i podają w tym ziemniaki w koszulkach. Krajowe zamówienia to zazwyczaj beczki lub donice na kwiaty. Rzadkością dla mnie są ogromne wanny z drewna do hoteli, ale oczywiście takie zamówienia też mam. Ludzie wymyślają najróżniejsze rzeczy.

Stworzył pan kiedyś coś niezwykłego? Z czego jest pan szczególnie dumny?

W dzisiejszych czasach każdy przedmiot jest niezwykły. Mogę nawet powiedzieć, że unikatowy.

A dawniej?

Dawniej dziadkowie tworzyli tylko przedmioty codziennego użytku: cebrzyki dla krów, świń lub koni.

Co według pana jest wadą tego zawodu?

Nie ma ludzi, którzy chcieliby pracować w tej branży. Młodzi wyjeżdżają za granicę, a starsze pokolenia już przeszły na emeryturę.

Czy nie brakuje panu klientów?

Nie, mam napięty cały grafik. Nie wiem, do czego ręce wsadzić, brzydko mówiąc. Nie dam rady zrobić pięćdziesięciu procent z tego, co mógłbym robić.

Przeważają u pana klienci indywidualni, czy raczej więksi dystrybutorzy kupują towary hurtowo?

Mam dużo klientów indywidualnych, ale również pracuję dla kilku firm. Niektóre zakłady biorą ode mnie towary już od dwunastu lat. Wysyłam również swoje wyroby do Szwajcarii i Francji.

Produkuje pan masowo?

Oczywiście. Otrzymuję zamówienia i robię konkretne rzeczy. Tworzenie kilku sztuk byłoby nieopłacalne.

Utrzymuje się pan z tej pracy? Czy robi pan jeszcze coś innego?

Nie mam czasu na nic. Mam za duży nawał zamówień.

Ile czasu zajmuje panu skonstruowanie takiego jednego przedmiotu?

Nie zastanawiam się nad tym. Zawsze produkuję co najmniej 30 sztuk. Nie robię tego z zegarkiem w rękę, tylko po kolei, jak leci.

Przedmioty projektuje pan sam, czy klienci zazwyczaj mówią konkretnie, czego chcą?

Różnie to wygląda, ale przeważnie są to moje własne wzory.

Można więc określić bednarstwo mianem pracy artystycznej?

Można tak powiedzieć. Dawniej, kiedy jeszcze pracowałem w Krakowie, dostawaliśmy zlecenie na cały rok i człowiek już od początku wiedział, co go czeka. Teraz w jeden tydzień robię jedną rzecz, w kolejny inną i to się powtarza. Nie mam określonych stałych ilości.

Czy ma pan więcej zamówień niż dawniej?

Ta praca działa na tej zasadzie, że jedni klienci przychodzą, inni odchodzą. Tak samo z firmami. Teraz miałbym kolejne zlecenia, ale po prostu już nie dam rady temu podolać. Wszystko mam ustawione, zajęte.

Ile czasu dziennie pan pracuje?

Siedzę czternaście godzin w warsztacie. Mam już prawie sześćdziesiąt lat i więcej nie dam rady...

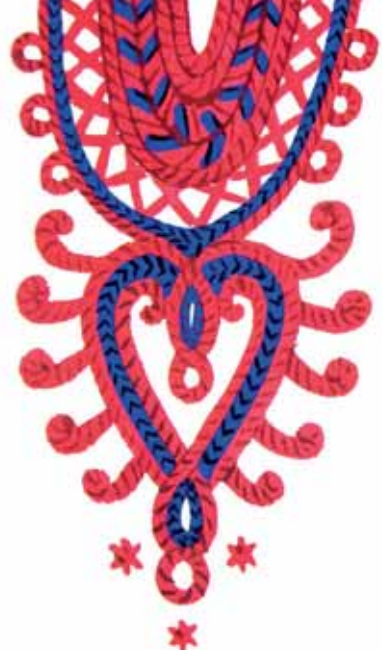
A czy ktoś z panem pracuje?

Zostałem sam. Pracowałem razem z ojcem, ale podeszły wiek nie pozwala mu już na trudnienie się tym zawodem.

Pańscy synowie nie garną się do utrzymania rodzinnej tradycji?

Nie, oni poszli w zupełnie innych kierunkach. Mają lepsze perspektywy na przyszłość. Dlatego mówiłem, że jestem ostatnim bednarzem spod Magurki. Nie widzę następców.





Zagórzanie



Zagórzanie mieszkają przede wszystkim w rejonie Mszany Dolnej, Kasiny Wielkiej, Kasinki Małej, Niedzwiedzia, Poręby Wielkiej i Lubomierza, ale ich wpływy sięgają również Rabki-Zdroju. Ich nazwa wzięta się stąd, że mieszkają „za górami” – konkretnie za Górcami (patrząc od strony Zakopanego).

Górale Zagórzanie są stąd z tradycji garncarskich, a także z rzeźby w drewnie. W okresie bożonarodzeniowym można tu zobaczyć charakterystyczne szopki z pajtokami (lalkami). Orędownikiem kultury Zagórzan był przez wiele lat Władysław Orkan. Muzeum jego imienia warto odwiedzić w Rabce-Zdroju.

Czarnoksiężnik z Pasma Jaworzyny

Klaudia Mirczak

Na osiedlu Dziedziny panował jeszcze niczym niezakłócany mrok, kiedy jeden z jego mieszkańców wstawał z łóżka, dziarskim krokiem kierował się w stronę ciasnej, skrytej w ciemności izby, stawał nad misą wypełnioną krystaliczną górską wodą i energicznie ochlapał nią twarz. Tym czynnościom towarzyszył zawsze dźwięk skrzypiących desek podłogowych. Następnie mężczyzna otwierał drzwi wejściowe, wpuszczając do środka rześkie, jeszcze nocne powietrze. Przez chwilę stał w progu, po czym wychodził na zewnątrz, pozostawiając drzwi otwarte. Szedł boso przez zroszoną trawę, aż w końcu dochodził do szopy, zwanej komórką, w której wnętrzu oddawał się modlitwie i tylko sobie wiadomym rozważaniom. Wraz z pierwszymi promieniami wschodzącego słońca, którym udawało się przedrzeć do jej wnętrza, Tomasz Chlipała opuszczał swój azyl i udawał się na powrót do chaty, potrącając przy tym każdorazowo tabliczkę z wrytym napisem: BULANDA.

Znany na całą okolicę, słynny baca wczesnym rankiem wychodził z domu, kierując się w stronę zamglonych szczytów. Po drodze wstępował do sąsiadów, ludzi, którzy powierzali mu stada swoich owiec, aby te razem z nim wędrowały w poszukiwaniu soczystozielonych pastwisk. Tak dzień w dzień przemierzał Bulanda Pasma Jaworzyny, oddając się przy tym najgłębszym rozmyślaniom. Aż w końcu docierał do miejsca tuż pod Turbaczem, z którego rozpościerał się zjawiskowy widok na pobliskie doliny i tam, obserwując swoje owce, spędzał upalne dni. Rzadko jednak był sam, gdyż ludzie nadchodzili z wszystkich stron wzniesienia. Trudno było się dziwić... Mężczyzna, siedząc niezmiennie na tym samym, olbrzymim kamieniu, z łaską w dłoni, w kapeluszu na głowie, małych okularach na czubku długiego nosa, z twarzą pomarszczoną, o mahoniowym odcieniu, oświetloną południowym słońcem, wyglądał jak znachor, który nie dość, że wie wszystko o wszystkim i o wszystkich, to jeszcze nie mniej sam na własnej skórze doświadczył. Największa magia kryła się w jego oczach, iskrzących się radośnie i emanujących witalnością, skrywających odpowiedzi na wszelkie pytania. Mawiano, że to za sprawą duchów, z którymi miał kontakt... Przyszła raz do Chlipały kobieta, niejaka Jantosia, wraz ze swoim synem, którego ręka była złamana. Bulanda kazał im usiąść i poczekać. Nagle zjawił się chłop z rumem i figami. Baca podał choremu chłopcu kawałek gruzły cukru, po czym poskładał rękę tak, że niedługo potem po złamaniu nie było ani śladu. Innym razem przyszli do Bulandy mężczyźni, którzy powiedzieli mu, że stracili woły. Szukali na jarmarkach, bo myśleli, że pewnie ktoś je ukradł, na co starzec odrzekł: „Są woły na Kamieńcu, weszły do stodoły i zawarły drzwi”. Poszli więc tam i – tak, jak powiedział znachor – znaleźli je w stodole.

Nieraz odwiedzała staruszka na Jaworzynie dziewczynka o długich warkoczach, której opowieści baca uwielbiał słuchać. Mówiła mu, jakich to historii na jego temat nasłuchiwała się w szkole, w domu, na ulicy czy podczas zabawy na podwórku sąsiadów. Ludzie przychodzili do Chlipały ze swoimi zmartwieniami, bo wierzyli w jego nadprzyrodzoną moc, nadając mu tym samym rangę Czarnoksiężnika. Niektórzy, a może nawet większość, uważali za pewne, że posiada on Księgę Czarnoksięską, na co Bulanda, ten słynny pasterz i znachor, uśmiechał się tylko i wstając z olbrzymiego kamienia, ruszał w kierunku zachodzącego słońca razem ze stadami swych owiec.

Opowiadanie oparte na rozmowie przeprowadzonej z prawnuczką słynnego Bulandy, Marią Ogielą.



Konkurs palm w Rabce-Zdroju

fotografie: Emilia Klęsk



Ulica Garncarska

Joanna Kozioł

Jedyne, co zostało po rabczańskim ośrodku garncarskim, to zakurzone warsztaty i ulica Garncarska.

Początki garncarstwa w Rabce szacuje się na XVII wiek, silny rozwój tego rzemiosła nastąpił w 1770 roku. Garncarstwo w tych rejonach rozwinęło się dzięki dobrym rynkom zbytu i pozostawiło po sobie piękną i bogatą tradycję. Tomek Nowak to fikcyjny bohater, kilkunastoletni chłopak. Skrawki jego życia pozwolą nam przybliżyć początek, tradycje, wyrób i koniec garncarstwa w Rabce i okolicach.

23 czerwca 1897

Wychodzę z domu do warsztatu. To bardzo zniszczony i mały domek, który tak dobrze znam. Umazany gliną dziadek siedzi na drewnianym stołku, machając do mnie ręką. Dobrze znam ten zapach – gliny i glazury. Wszystko w tym warsztacie jest na swoim miejscu: koło garncarskie, ława, piec, zniszczone i niewypalone misy. Idziemy dzisiaj kopać glinę do Skomielnej. Występuje tam ulubiona glina mojego dziadka, żółta i niebieska, które mieszamy pół na pół. Zawsze później dodajemy do nich wody i szlamujemy, aby pozbyć się trawy, kamieni czy nawet robaków. Później wlewamy glinę do korytek, gdzie odcedzamy ją przez.

5 marca 1898

Glina przemarzała na polu koło naszego gospodarstwa całą zimę i nareszcie jest gotowa do obróbki. Wpierw musimy ją przewieźć do warsztatu, a w tym zawsze pomaga nam nasz sąsiad, który ma wóz. Dzięki niemu możemy łatwo przetransportować surowiec. Niestety w przyszłym roku znów będziemy musieli to powtórzyć – dwie tony gliny, którą teraz mamy, wystarczą nam tylko na rok, a więcej nie możemy składować. Pewnie kiedyś będzie można kupować już gotową, przemrożoną glinę, ale jak na razie musimy sobie z tym radzić sami. W następnej kolejności trzeba pięć razy przemielić glinę dużymi walcami, żeby stała się plastyczna. Później zawsze przychodzi mama, żeby ugnieść glinę – tak, jak ciasto na makaron. Dzięki temu glina jest gotowa do użycia.

6 marca 1898

Dzisiaj wyrabiamy dwojaki i trojaki, czyli garnki złożone paskami gliny i wspólnym uchem. Pani Hania o nie poprosiła, buduje dom i potrzebuje naczyń do noszenia stawy ludziom pracującym w polu. Ustawiamy glinę na kole, zwężamy, podciągamy, aż wyjdzie zadowolający nas kształt. Zawsze ja je robię, ponieważ dziadek ma na nie za duże ręce. On woli lepić misy, garnki i inne większe wyroby.

8 marca 1898

Żeby zafarbować wyrób musimy ścierać miedziane kable, które mama odkupuje od sąsiadów. Dlatego garnki mają w sobie małe pomarańczowe drobinki. Kolor wyrobu zależy także od rodzaju użytej gliny i od długości wypału. My zawsze zostawimy naczynia w piecu dłużej, żeby przybrały ciemniejszy kolor. Wypala się dużą ilość, dwa razy. Na podhalańskich wyrobach widać jodelkę lub kratkę na dnie naczynia, my zawsze robimy kratkę. Dziadek mówi, że każda rodzina ma inny sposób wyrobu i ozdabiania.

Ostatnio mamy dużo klientów. Rodzice twierdzą, że to dobrze, bo nareszcie będziemy mogli zamienić pasję dziadka na źródło dochodu. Powiedzieli mi też, że muszę się pilnie uczyć, ponieważ to ja kiedyś będę głównym garncarzem w rodzinie, taki fach przechodzi z rąk do rąk przez wiele pokoleń.

1 stycznia 1929

Wychodząc na dwór, wspominam wszystko, co działo się tu przez ostatnie lata. Śmierć dziadka i ojca spowodowała, że to ja przejąłem fach garncarza i to na mnie spadł obowiązek utrzymania rodziny. Niestety, rozwijająca się produkcja naczyń z tańszych materiałów znacznie obniżyła zapotrzebowanie na tradycyjne wyroby, co spowodowało, że wielu garncarzy musiało zmienić pracę. Status Rabki jako uzdrowiska rósł, obniżając znaczenie tradycji. Z kilkunastu warsztatów garncarskich zostało ledwie kilka. Coraz więcej osób wyjeżdżało do Ameryki w poszukiwaniu lepszej pracy. Dla większości garncarzy ich dawna praca to teraz tylko wspomnienie. Jedyne, co zostało po rabczańskim ośrodku garncarskim, to zakurzone warsztaty i ulica Garncarska.

Trudno jednoznacznie ocenić przyczyny upadku garncarstwa w Rabce i okolicach. Spuścizna, którą zostawili po sobie tamtejsi rzemieślnicy, zostanie jednak z nami na zawsze. Dzięki muzeom, w których ich produkty są przechowywane, dzięki potomkom, którzy podtrzymują tradycje, a także dzięki wielu organizacjom i projektom, które rozpowszechniają wiedzę na ten temat. Wystawy wyrobów lokalnego garncarstwa znajdują się na przykład w Muzeum im. Władysława Orkana w Rabce-Zdroju. Istnieją też stare garncarskie warsztaty odrestaurowane na muzea, gdzie można podziwiać eksponaty. Wielu ludzi organizuje warsztaty, w których można zobaczyć naczynia lub nauczyć się, jak w tradycyjny sposób je wyrabiać. Pozornie martwe rzemiosło jest w stanie nadal zadziwiać i interesować ludzi.

Źródła:

<https://pl.wikipedia.org/wiki/Garncarstwo>
wywiad własny z Witoldem Ciesielskim
„Zeszyty rabczańskie”, nr 2, Rabka-Zdrój 2014





*Ujęcia z filmu pt. „Kolędowanie z Zagórzanami”
realizacja: Laura Ceklarz, Dawid Śmieszek*

Demonologia ludowa

Klaudia Kusy

Wywiad z Małgorzatą Wójtowicz-Wierzbicką, pracownikiem naukowym Muzeum im. Władysława Orkana w Rabce-Zdroju, etnologiem i badaczem kultury Zagórzan, autorką wystawy *Demonologia ludowa w kręgu ludowych wierzeń nadzmysłowych*.

Czym jest demonologia ludowa?

Wierzenia związane z wyobrażeniem demonów to ciekawy wątek wiedzy ludowej i ludowego postrzegania świata, człowieka oraz jego roli we wszechświecie. Demonologia ludowa jest dziedziną wiedzy badającą wyobrażenia ludu o istotach nadzmysłowych. Dziedzina ta rozwinęła się w początkach XX wieku, kiedy tematyka wierzeń ludowych zainteresowała badaczy. Wówczas jeszcze w terenie można było spotkać wiele przekazów związanych z wiarą w duchy, strachy i demony. Ciężko w to uwierzyć, ale na polskiej wsi wiara ta była spotykana jeszcze w latach 80. XX wieku.

Jak to jest obecnie? Czy nadal spotkać można ludzi, którzy pamiętają takie opowieści wierzeniowe?

Od tamtych czasów bardzo wiele się zmieniło. Świat otworzył się głównie poprzez skok cywilizacyjny. A tym oknem na świat stał się po części telewizor, ale też powszechna edukacja i to, że polska wieś wyszła z wielowiekowej izolacji. Owszem, w terenie spotykamy często ludzi, którzy w dzieciństwie słyszeli podobne opowieści, ale dziś podchodzą do tego z rezerwą, często nie chcą tego wspominać, bo boją się reakcji współczesnych, postrzegających wierzenia ludowe jako „zabobon”.

A jak to wyglądało kiedyś?

Do początków XX wieku opowieści wierzeniowe stanowiły główne źródło wiedzy o świecie. Opowiadano sobie podczas długich zimowych wieczorów, podczas tak zwanych spotkań folklorotwórczych, to jest *skubarek*, *prządek*, itp. Opowieści o strachach, duchach, demonach były na porządku dziennym do tego stopnia, że człowiek wyrażający swoje w nie zwątpienie uważany był za niespełna rozumu. Ludzie opowiadali sobie takie historie ku przestrodze, ale też stanowiło to świetną rozrywkę. Trzeba zrozumieć, że cały wszechświat postrzegany był jako miejsce ścierania się dwóch głównych opozycyjnych wobec siebie sił dobra i zła. Mało tego, samo stworzenie świata, o którym mówi m. in. słowiański mit kosmogoniczny, postrzegane było jako efekt współpracy Boga i Diabła.

Współcześnie mało się o tym mówi, ale jest to istotne dla zrozumienia natury pewnych rzeczy. Dlaczego pewne zwierzęta traktujemy z estymą, a innymi pogardzamy – otóż dlatego, że od wieków lud nadawał im takie cechy. Według owego mitu Bóg stworzył człowieka, a Diabeł, chcąc także ulepić człowieka, poniósł porażkę i ulepił planetnika. Bóg stworzył pszczołę, a Diabeł muchę, Bóg owcę, a Diabeł kozę itd. To tłumaczy, dlaczego symbolem szatana jest kozioł.

Jakie były rodzaje demonów?

W wyobrażeniu ludowym człowiek zmarły tragiczną śmiercią, u którego nie dopełniono sakramentów świętych, nie-ochrzczone dziecko, kobieta zmarła w połogu, utopiony, bądź po prostu samobójca mogli stać się demonami. To ich dusze po śmierci, nie mogąc zaznać spokoju, błąkać się miały po ziemskich bezdrożach w poszukiwaniu ukojenia.

Demony

fotografie: Natalia Klęsk

Diabeł i Czarownica,
Zygmunt Wójtowicz,
ze zbiorów Muzeum
im. Władysława Orkana
w Rabce-Zdroju



Demony dzieliły się na grupy związane ze środowiskiem, w jakim miały przebywać: wodne, błotne, polne i leśne. Spotkać je można było w miejscach znaczących, granicznych, medialnych: na rozstajnych drogach, miedzach, w starych opustoszałych młynach, kuźniach, tartakach, gdzie człowiek zaprzęgał do pomocy żywioły.

A jak takie wyobrażenia wyglądały u Zagórczan?

Szczerze mówiąc, nie różniły się wiele od tych z reszty Polski. Świetny materiał stanowią do dziś opowieści wierzeniowe zebrane przez dr Sebastiana Flizaka, który w latach 50. XX wieku zbierał takie historie wśród mieszkańców tutejszych wsi.

Zatem jakie postacie demonów spotkać można w tych dawnych opowieściach?

Najpopularniejszym jest oczywiście sam diabeł, którego głównym celem jest sprowadzenie człowieka na złą drogę, wykupienie jego duszy w zamian za ziemskie dostatki. Diabeł był taki trochę nieporadny, można go było wywieść w pole, oszukać przy użyciu sprytu, śmiano się z niego, ale też się go bano. Najczęściej ukazywał się ludziom pod postacią eleganckiego pana ubranego po miejsku, któremu spod spodni wystawało kopyto lub rogi czy też ogon. Czasem przybierał formę cielęcia, kury na złotym łańcuszku błakających się po bezdrożach. Kusił chłopów na różne sposoby.

Powszechna była również wiara w czarownice, czyli pomocniczki diabła. Ciężko je było rozpoznać, ponieważ wyglądały jak pozostałe mieszkanki wsi. Czarownice zajmować się miały szkodzeniem ludziom i zwierzętom gospodarskim: zadawaniem chorób, uroków, magią miłosną, odbieraniem szczęścia i urodzaju. W wyobrażeniu ludowym czarownice potrafiły wydoić wszystkie zwierzęta, w tym także pasikoniki oraz przedmioty martwe: uzdę, kij. Taką czarownicę można było pozbawić mocy poprzez zdemaskowanie jej, odkrycie, kto zadał urok, chorobę. Czyniono to na wiele różnych sposobów, na przykład gotowano gwoździe na szmacie zawieszanej na garnku, w którym było zepsute, oczarowane mleko itp.

W pobliżu rozlewisk wodnych, baniorów można było spotkać topielce pod postacią nagiego niemowlęcia o nadludzkiej sile, przepasanego nieludzko długą pępowiną. Wabił on ludzi i wciągał pod wodę.

A czy istniały też inne demony związane z wodą?

Tak. Boginki mieszkwały w ostępach leśnych, ale przebywały najczęściej na brzegach stawów, gdzie zajmowały się praniem odzieży, zwykle nocą. Z wyglądu podobne były do ludzkich kobiet, ale miały nadmiernie długie, workowate piersi, które zwykły sobie zarzucać na plecy, kiedy biegły. Czasem używały ich też do prania, tak jak ludzie używali do prania kijanek. Cechowała je niebywała słabość do ludzkich dzieci. Porywały nieochrzczone niemowlęta i w zamian za to zostawiały w domu położnicy odmienca. On był wiecznie głodny i marudzący. Aby się go pozbyć, należało wynieść go o północy na gnój i zbić przy użyciu pokrzyw. Boginka, zwabiona jego krzykami, przybiegała i oddawała nasze dziecko.

Pisała Pani w katalogu wystawy o demonie, który był wegetarianinem?

O tak, to bardzo ciekawy przypadek. Mowa tu o planetniku. Żywił się tylko owsem i grzybami. Pełnił służbę na ziemi, zawiadował chmurami gradowymi, dbając, by te omijały pola uprawne pobożnych ludzi. W wyobrażeniach ludowych planetnicy podróżować mieli w chmurach, od czasu do czasu spadając gdzieś przypadkowo we wsi. Chodzili po wsi i szukali gościny. Ten, kto ugościł dobrze planetnika, mógł liczyć na jego łaskawość i analogicznie, kto nie udzielił mu schronienia i nie nakarmił go, ten musiał liczyć się z konsekwencjami. Zemsta planetnika sprowadzała gradobicia nad pola uprawne takiego człowieka nawet na siedem pokoleń w przód.

Jakie znaczenie mają dzisiaj te wierzenia?

Tłumaczą nam rzeczywistość. Mało kto wie, ale dzisiejsze wyobrażenie o wampirach miało swój ludowy pierwowzór: w Polsce takim demonem ssącym ludzką krew miał być strzygoń, bądź strzyga. Silny demon żywiący się ludzką krwią, wyglądem przypominać miał człowieka w momencie śmierci. Wstawał z grobu po zmroku, aby wracać w pobliże ludzkich siedzib – najczęściej do własnych rodzin, by wieść życie sprzed śmierci. Strzygonie pomagały w gospodarstwie, doglądały bydła, pomagały w żniwach. Zmarłego podejrzanego o takie zdolności wykopywano z grobu i grzebano twarzą do ziemi, tak aby nie mógł znaleźć drogi do wsi.

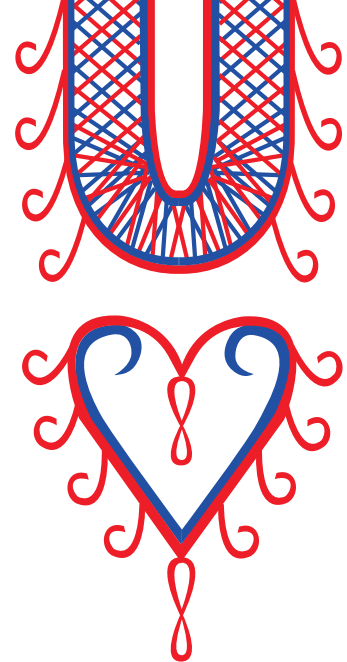
Skąd pomysł na wystawę?

Szczerze mówiąc, temat ten od dawna mnie fascynował, a kiedy zaczęłam pracę w Muzeum im. Władysława Orkana w Rabce-Zdroju, upewniłam się, że trzeba to zrobić. Znałe były mi już wcześniej pokonkursowe zbiory rzeźby współczesnej. Dotyczyły właśnie demonologii ludowej. Kiedy przejrzałam katalog, okazało się, że w sumie to gotowy materiał na wystawę, przeszło 65 prac z zakresu malarstwa na szkle i rzeźby. Pozyskano je do zbiorów w 1984 roku po konkursie zorganizowanym przez nasze Muzeum. Naszą wystawę plastycznie opracowała Natalia Klęsk, która zadbała o jej klimat. Wchodzi się do ciemnego lasu i tam spotkać można takie oto strachy. Taki był zamysł.



„Diabły”
aut. Józef Kozak

„Diabeł niesie kamień”
aut. Stanisław Stożek



Kluszczacy

Kluszczacy mieszkają pomiędzy Makowem Podhalańskim, Jordanowem a Rabką-Zdrój, w szczególności w rejonie Tokarni, Skomielnej Czarnej, Pcimia i Lubnia. Ich nazwa wzięta się od charakterystycznego wyszycia wzoru na portkach tzw. „kliszca”.

Tereny te słyną przede wszystkim z rzeźby w drewnie oraz wyrobu wyjątkowych kwiatów z bibuły. Od ponad pół wieku podczas procesji palmowej kultywowany jest średniowieczny zwyczaj obwożenia pośród wysokich palm drewnianej figury Jezusa na Osiotku wykonanej przez Józefa Wronę. Od połowy XX wieku działa Zespół Regionalny Kluszczacy kultywujący regionalną tradycję, obyczaje, taniec i śpiew. Region słynie również z tuki – tradycyjnych wykopków przy Ekomuzeum w Bogdanówce oraz Kalwarii Tokarskiej – rzeźb plenerowych położonych na stokach Urbaniej Góry.



Józef Wrona - Świątkarz spod Urbaniej Góry

Zuzanna Jędrocha

Rozmawiamy z Józefem Wroną – rzeźbiarzem ludowym, artystą, twórcą Osiołka Palmowego i Kalwarii Tokarskiej.

Kiedy zrobił Pan swoją pierwszą rzeźbę?

To było w 1967 roku. Na jarmarku w Nowym Targu spodobała mi się rzeźbiona głowa jelenia, więc ją kupiłem. Po powrocie do domu pomyślałem, że była dość droga i że w sumie mógłbym sam taką zrobić. Zabrałem się do pracy i nożem wystrugałem całkiem podobną. I właśnie to był początek.

Czy ktoś wspierał pana talent rzeźbiarski?

Kiedy pełniłem rolę kościelnego w naszym kościele, jednemu aniołkowi ułamało się skrzydło. Ksiądz proboszcz Jan Mach poprosił mnie o pomoc. Zrobiłem brakującą część, a proboszcz, patrząc na moje dzieło, dał mi dłuta i powiedział, żebym kontynuował, bo idzie mi całkiem dobrze. Od tego czasu zacząłem rzeźbić świątki. Wiele zawdzięczam księdzu Machowi, który podtrzymywał mnie na duchu, zachęcał. Gdyby nie on, to bardzo szybko bym rzeźbienie zarzucił.

Jak powstała Mała Kalwaria?

Chciałem i marzyłem, żeby postawić na ojcowiznie, ku pamięci przodkom, choć jedną kapliczkę ze swoją rzeźbą. Tym, którzy pracowali i trudzili się na tej ziemi. Wyrzeźbiłem więc figurę Matki Bożej i przy pomocy sąsiadów umieściłem w grocie. Wtedy na Urbanią Górę zaczęli wychodzić ludzie, modlić się, odprawiać majówki. To dało mi motywację do dalszej pracy. Rzeźbiłem nowe figury, poświęcone Matce Najświętszej, Aniołom Stróżom, Chrystusowi Frasobliwemu i Męce Pana Jezusa.

Jak wygląda Kalwaria Tokarska?

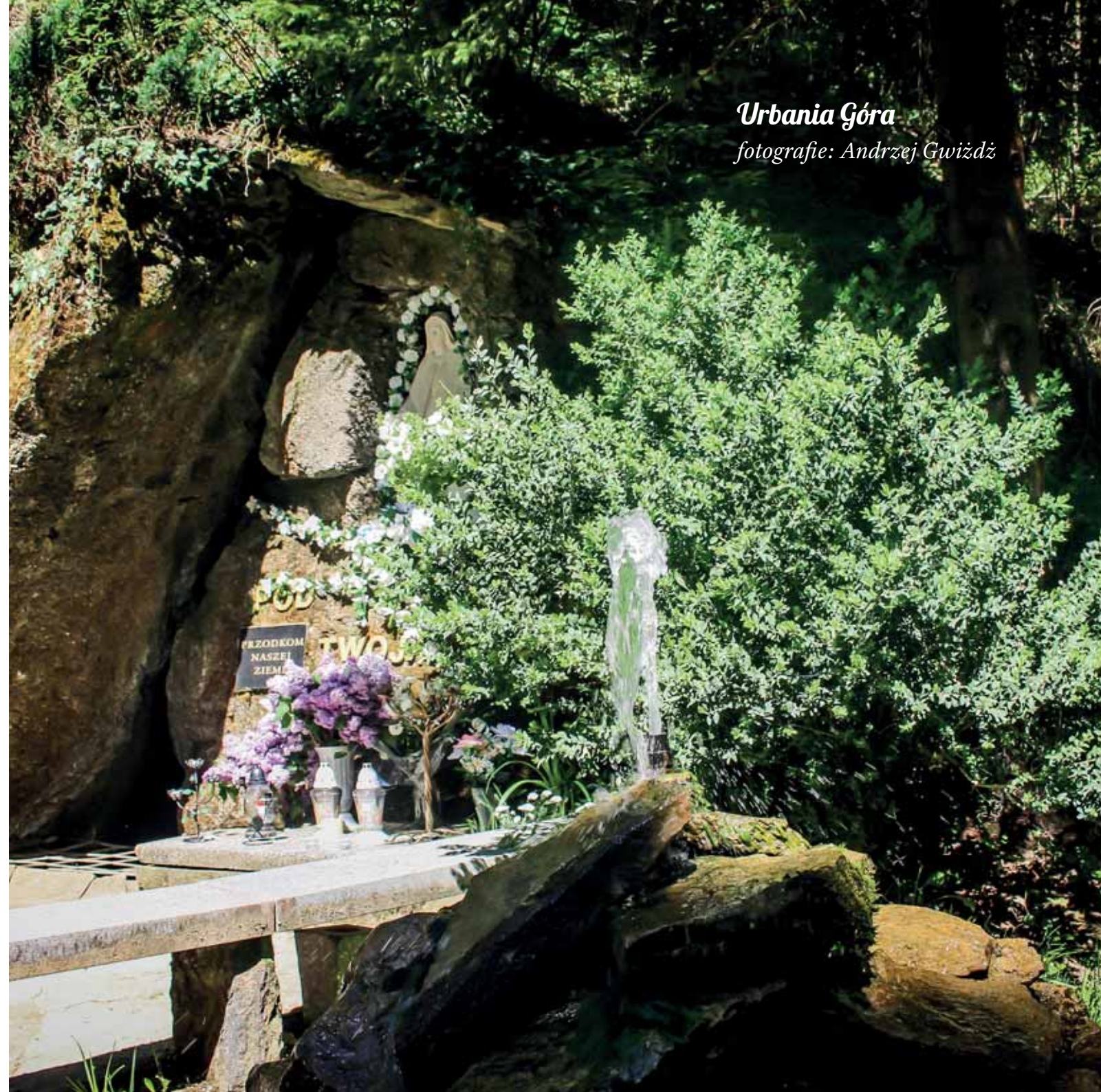
Pierwsza drewniana rzeźba Matki Bożej Niepokalanie Poczętej została tam umieszczona w 1982 roku. W tym samym roku usypano też kopiec, który poświęcono TYM, CO BRONIA I ŻYWIĄ. Potem powstała Piwnica Biczowania, a w następnym roku – mostek z rzeźbą Anioła Stróża przeprowadzającego dziecko. Jest tam też jezioro z fontanną. Na środku przymocowana jest łódź z rzeźbą Jezusa, który przekazuje klucze świętemu Piotrowi. Widnieje tam napis „Piotrze paś owieczki moje”. Na Urbanią Górę prowadzi 14 stacji drogi krzyżowej. Na samym szczycie znajduje się krzyż z postacią ukrzyżowanego Chrystusa naturalnej wielkości. Kalwaria jest dobrze wkomponowana w otaczającą ją przyrodę. Każdy, kto szuka ciszy i spokoju, znajdzie je właśnie na Urbaniej Górze, która jest doskonałym miejscem na medytację i modlitwę.

Jak i kiedy powstała słynna rzeźba Jezusa na osiołku?

Rzeźba powstała w 1967 i 1968 roku. Pomysłodawcą był ksiądz Mach, który chciał odtworzyć zapomniany średnio-wieczny zwyczaj w Tokarni. Zabrałem się ochotczo do pracy, a kiedy już wyrzeźbiłem osła, poprosiłem sąsiada, by wszedł na niego, ponieważ w ten sposób chciałem sprawdzić proporcje dla postaci Jezusa. Ludzie we wsi dziwili się wtedy i rozpowiadali, że osioł osła wyrzeźbił [śmiech]. Była to jedna z pierwszych rzeźb naturalnej wielkości, jakie wykonałem. Następna duża figura to była rzeźba Matki Bożej z wieczerzika, dawniej noszona przez dwunastu mężczyzn wokół kościoła w Zielone Świątki. Jednak największą radością była dla mnie możliwość osobistego wręczenia ojcu świętemu Janowi Pawłowi II małej rzeźby Jezusa na osiołku mojego autorstwa.

Urbania Góra

fotografie: Andrzej Gwiżdż



Jakimi narzędziami posługuje się Pan przy tworzeniu rzeźby?

Najczęściej są to proste narzędzia, takie jak: noże, koziki, dłuta, siekierka. Do kamienia używam też szlifierki.

W jakim drewnie Pan rzeźbi?

Do wykonania dużych figur najczęściej używam drewna twardego, dębowego lub sosnowego. Z kolei przy tworzeniu małych figur korzystam z drewna miękkiego, pozbawionego słoików, na przykład lipy lub topoli. Ostatnie lata rzeźbię też w kamieniu pińczowskim.

Czy pobierał Pan nauki u profesjonalnych rzeźbiarzy?

Nikt mnie nie uczył, jak mam rzeźbić. Na początku, zanim zabrałem się do pracy nad nową figurą, musiałem dokładnie przestudiować obrazki, które służyły mi za wzór. Początki były dość trudne, ale teraz rzeźby wychodzą mi coraz łatwiej. Kształty już się nie gubią w drzewie.

Wiemy, że brał Pan udział w różnych wystawach. Którą Pan ceni najbardziej?

Brałem udział w różnych wystawach, krajowych i zagranicznych. Jednak najbardziej cenię sobie to, że moje rzeźby stoją w tutejszym kościele, przydrożnych kapliczkach i na Urbaniej Górze. Wzruszeniem napelnia mnie myśl, że ludzie zatrzymują się przed moimi rzeźbami na chwilę zadumy, krótką modlitwę czy kontemplację.



*Tradycja pokoleń.
Niedziela Palmowa
w Tokarni
fotografie: Joanna Zięba*



W blasku fleszy, czyli o kulisach powstawania płyty „Kluszczacki folk”

Katarzyna Słonina

Minęło kilka miesięcy od koncertu promującego płytę „*Kluszczacki folk*”, której premiera miała miejsce w grudniu 2018 roku. Postanowiliśmy spotkać się z pomysłodawcami, aby dowiedzieć się nieco więcej o kulisach powstawania tego widowiska. Wojciech Pęcek, koordynator projektu, na co dzień pracuje w Gminnym Ośrodku Kultury i Sportu w Tokarni. Jego pasją jest muzyka oraz kręcenie filmów. Na płycie „*Kluszczacki folk*” udało mu się połączyć obie te rzeczy.

Jak długo jesteś w zespole?

Wydaje mi się, że całe życie [śmiech]. Nie ukończyłem jeszcze roku, gdy po raz pierwszy zadebiutowałem w roli małego Jezuska na tutejszej scenie. Często żartuję, że właściwie ja to jestem dzieckiem „Kluszczaków”, dosłownie i w przenośni, ponieważ moi rodzice poznali się właśnie w Zespole.

Czyli folklor masz w genach?

Chyba tak [śmiech]. Odkąd pamiętam, towarzyszyły mi tańce i śpiewy kluszczackie. Rodzice zabierali mnie na próby Zespołu oraz na różne koncerty. To zaszczerpiło we mnie miłość do kultury ludowej już we wczesnym dzieciństwie.

Skąd pomysł na płytę?

Pomysł na „*Kluszczacki folk*” zrodził się przede wszystkim dzięki młodzieży, która teraz tworzy Młodzieżowy Zespół Regionalny „Kluszczacy”. Patrząc na nich, widziałem ich entuzjazm, nieustanną chęć poznawania czegoś nowego, a także ogromną energię. Pomyślałem wówczas, że fajnie by to było połączyć z tradycją, z folklorem naszego regionu, odrobinę uatrakcyjnić i wzmocnić przekaz, tak aby mógł on trafić do szerszej publiczności – do tych, którzy w folklorze nie widzą niczego atrakcyjnego. Dzięki projektowi „*Kluszczacki folk*”, w którym wzięliśmy udział, mogliśmy wydać płytę, na której znalazły się muzyka i śpiew inspirowane ludową tradycją kluszczacką.

Co znajdziemy na płycie?

Nagraliśmy 10 utworów. Są to ludowe utwory przeplatane współczesną muzyką folkową. Jest tam też teledysk „*Zawzdyd Ci godała*”, który otrzymał nagrodę główną w kategorii „filmowy produkt projektu” w konkursie „*Opowiedz...*”.

Ile trwały przygotowania do koncertu?

Opracowanie oraz zrealizowanie tego projektu zajęło nam 12 miesięcy. Najpierw była burza mózgów wszystkich zaangażowanych. Trzeba było przygotować materiały, wybrać piosenki, zastanowić się nad tym, jaki efekt spodziewamy się osiągnąć. Potem były konsultacje muzyczne z kapelą... to już było niczym starcie tytanów [śmiech]! Każdy z nas miał swoją wizję i każda była dobra, jednak musieliśmy osiągnąć kompromis i zdecydować się na jedną drogę. Kolejnym etapem był dobór wokalny. Przez cztery miesiące zastanawialiśmy się nad odpowiednim dobraniem głosów do poszczególnych piosenek. Natomiast ostatni, najdłuższy i najbardziej żmudny etap to były ćwiczenia. Wyzwanie było ogromne, chcieliśmy zabłysnąć przed publicznością, chcieliśmy ją w sobie rozkochać, dlatego nie było żadnej taryfy ulgowej. Spotkania były przynajmniej raz w tygodniu, a im bliżej terminu promocji, tym częściej się spotykaliśmy. Żadna wymówka nie była na tyle poważna, aby mogła usprawiedliwić nieobecność.



Na ile twoje doświadczenie muzyczne pomogło w realizacji tego projektu?

Bez tej bazy nie byłoby nawet takiego pomysłu, a co dopiero umiejętności jego realizacji. O sukcesie *Klischackiego folku* zdecydowało wiele czynników, a przede wszystkim zaangażowanie jego uczestników, świetna kapela i charyzmatyczne głosy.

Mieliście obawy, że coś pójdzie nie tak?

Obawialiśmy się wielu rzeczy. Przede wszystkim czynników losowych, na które nie mamy wpływu. O ból głowy przypadała mnie myśl, że coś się stanie ze sprzętem nagłaśniającym, że prądu nie będzie. Na szczęście nie byłem sam, miałem wsparcie dyrektora tutejszego ośrodka kultury. To on napisał projekt, pomógł w tworzeniu choreografii, zajął się nagłośnieniem i przygotowaniem sceny do występu. Bez niego nie byłoby *Klischackiego folku*. Ostatni czynnik, który mógł zawieść, to publiczność. Na szczęście nie rozczarowaliśmy się. Choć przyznam szczerze, że nie byłem pewien, jak naszą muzykę przyjmą starsze osoby, wychowane na tradycyjnym brzmieniu muzyki klischackiej... A tutaj przecież było głośno, energicznie, a nawet rockowo [śmiech]. Ale udało się! Połączyliśmy stare z nowym, młodzieńczy żywioł z ludową nutą.

To twoje pierwsze doświadczenie w roli reżysera. Jaki Ci się pracowało z młodzieżą?

Nasze stosunki są koleżeńskie, znamy się od dzieciństwa. Jesteśmy trochę jak wielka rodzina, ale to wcale nie oznacza, że było łatwo. Były spięcia i nieporozumienia, ale pokonaliśmy je! Właśnie zbieramy się na próbę. Proszę zapytać innych jakie mają odczucia, bo może ja nie jestem do końca bezstronny [śmiech].

Zgodnie z sugestią przenosimy się więc do gwarnej sali, gdzie tradycyjnie w każdą środę odbywają się próby młodzieżowego Zespołu Regionalnego „Klischacy”, pod kierownictwem Małgorzaty Pęcek.

Jak pani ocenia efekty pracy nad Klischackim folkiem?

Jestem z nich bardzo dumna. W tym projekcie wzięła też udział najmłodsza grupa „Małych Klischaków”. Dzieciaki podeszły do zadania profesjonalnie. Były podekscytowane, że wystąpią przed swoimi rodzicami i babciami. Dla wielu to był debiut, najmłodszy Klischak nie ma nawet dwóch lat. Poradzili sobie znakomicie. Dzięki temu zrozumiałam, że tradycja klischacka przetrwa, bo mamy takie iskierki w zespole, które mają szansę zapłonąć, jeśli tylko będziemy na nie dmuchać odpowiednio mocno.

W sali robi się coraz głośniejsze, najmłodsze dzieci beztrudno rozrabiają, widząc, że pani kierownik na chwilę spuściła ich z oka. Starsza młodzież usiadła w kącie i zawzięcie gestykuluje. Czyżby już pojawiły się nowe plany?

Czego dowiedziałyście się o sobie podczas tworzenia Klischackiego folku?

Podczas prób, na których przygotowywaliśmy się do nagrania płyty, zauważyliśmy, że mamy swoje wewnętrzne bariery, które czasem ciężko było nam pokonać. Na początku brakowało nam swobody, stresowałyśmy się każdą solówką, bałyśmy się reakcji koleżanek i kolegów. Jednak z każdą próbą było coraz lepiej, poznawałyśmy się i to dawało nam większą swobodę oraz wiarę we własne możliwości.

Czy wytworzyła się między wami jakaś szczególna więź?

Od samego początku miałyśmy ze sobą dobry kontakt. Z niektórymi dziewczynami znamy się od dzieciństwa, jednak te regularne próby oraz wspólny cel jeszcze bardziej nas do siebie zbliżyły. Musiałyśmy sobie zaufać na sto procent. Tak nam zostało do dziś, cieszymy się z każdego spotkania i wspieramy, jeśli coś nam nie wyjdzie. Mamy nadzieję, że tak już zostanie do końca!

Czy odkryłyście w sobie talenty wokalne-muzyczne, o których do tej pory nie miałyście pojęcia?

Każda próba sprawiała, że byłyśmy pewniejsze siebie, nabrałyśmy doświadczenia. Zaczęłyśmy też zwracać uwagę na błędy, które popełniamy podczas śpiewania, a z których do tej pory nie zdawałyśmy sobie sprawy. Dzięki temu znamy teraz siłę i moc naszych głosów [śmiech].

Trudno było sprostać wymaganiom reżysera-choreografa?

Z Wojtkiem znamy się od dawna, mamy bardzo dobre relacje i to na pewno pomogło nam niejednokrotnie rozładować napięte sytuacje. Wiemy jednak, że nie zawsze jest łatwo zapanować nad grupą, w której każdy ma swój punkt widzenia, czasami kaprysi albo ma zły dzień. Wtedy trzeba było tupnąć nogą i Wojtek się tego nie bał. Wiedział, jak ustawić nas do pionu [śmiech].

Nie tylko młodzież brała udział w projekcie „Klischacki folk”. Dzięki zaangażowaniu rodziców powstały nowe stroje dla najmłodszej grupy Klischaków.

Kiedy poproszono mnie o pomoc, nie miałam żadnych wątpliwości. Pomysł na nowe stroje poddała mi Małgorzata Pęcek, instruktorka Zespołu. Po naradzie zdecydowałyśmy, że będą to stroje do polki galopki. Dziewczynki dostały nowe spódnice z tybytu i podkoszulki z motywem serca, a chłopcy spodnie trzy czwarte i kolorowe muszki. Dzieci były dla mnie największą motywacją. Tak zapamiętały ćwiczyły nowe tańce, że i ja czułam na sobie presję czasu i powagę sytuacji.

Opuszczamy progi GOK-u z nostalgią w sercu, ale i nadzieją na nowe projekty, dzięki którym tradycja klischacka będzie trwać i nabierać nowych kształtów. Na pewno tu jeszcze wrócimy!



Odkryj Beskid Wyspowy
fotografie: Joanna Makusek

Piękno odtworzone

Zuzanna Korabik

Wywiad z Bartłomiejem Dyrzczem, pisarzem, malarzem, miłośnikiem historii i dyrektorem Gminnego Ośrodka Kultury i Sportu w Tokarni.

Wchodzimy do sali głównej dworu tokarskiego. W jego progach wita nas Bartłomiej Dyrzcz, zapraszając do historyczno-ikonograficznej podróży. Dowiadujemy się od niego, że pierwsza wzmianka dotycząca Tokarni pojawiła się w połowie XV wieku, a nazwa miejscowości pochodzi od słowa tokowisko, oznaczającego miejsce, gdzie odbywały się gody cietrzewi. Herb miejscowości przedstawiający ptaka cietrzewia trzymającego myśliwską trąbę nawiązuje zaś do pierwszych właścicieli – rodziny Jordanów herbu Trzy Trąby. Rozglądamy się po obszernej sali, która kiedyś pełniła rolę salonu. Wzrok nasz przykuwają oryginalne, piękne stropy w kształcie rozety, nie lada gratka dla miłośników architektury. Na ścianach portrety trzech przodków rodu Targowskich, które wyszły spod pędzla naszego rozmówcy. Jan Kanty, Erazm oraz Bolesław Józef Targowski w strojach szlacheckich dumnie spoglądają na odwiedzających. Do 1945 roku w dworze wisiały oryginalne portrety przedstawicieli rodzin Targowskich i Łodzińskich. Niestety obecnie uznaje się je za zaginione.

– Skąd się wzięło zainteresowanie przeszłością? – pytamy.

– Pociąga mnie historia ludzi, którzy zostawili ślad w historii Tokarni i okolicy. – odpowiada dyrektor.

Podchodząc do ściany portretowej głównej, pytamy z kolei, kto stał się inspiracją do namalowania podobizn właścicieli dworu.

– W 2003 roku w moje ręce dostał się rękopis wspomnień księdza dr Antoniego Gagatnickiego, który w czasie wojny przebywał u swojej siostry i jako duchowny pełnił rolę pomocy kościelnej. Wtedy bardzo obrazowo spisał dzieje i historię kościołów oraz rodzin, które były właścicielami Tokarni, Łętowni i Skomielnej Czarnej. Z lektury dowiedziałem się, że we dworze, w sali jadalnej wisiały portrety jego pradziadka Jana Kantego Targowskiego oraz dziadka, Erazma Targowskiego, ojca jego matki. Postanowiłem zgłębić temat i odkryłem, że w Trzemeśni na plebanii znajduje się poczet portretów okolicznych proboszczów, a wśród nich był portret przedstawiający w charakterystycznej XIX-wiecznej narzucie na ramionach Wojciecha Targowskiego, proboszcza parafii i brata Jana Kantego. Na podstawie tych wiadomości mogłem odtworzyć historię rodziny. Targowscy herbu Tarnawa byli rodem pochodzącym z Kielecczyny, mocno zaangażowanym w działalność patriotyczną. Niestety, po upadku powstania kościuszkowskiego zostali pozbawieni majątku rodzinnego. Po licznych przenosinach z miejsca na miejsce znaleźli się w Tokarni, gdzie rodzina mogła ponownie zapuścić korzenie dzięki małżeństwu Jana Kantego z Anną Łodzińską, właścicielką Tokarni. Dwór wybudował najprawdopodobniej Erazm Targowski, a jego syn Bolesław posiadłość pięknie odrestaurował i rozbudował. Dwór pozostał w rękach rodziny Targowskich przez 150 lat. W 1945 roku został upaństwowiony i utworzono tam przedszkole oraz mieszkania dla nauczycieli. Obecnie składa się z dwóch niezależnych skrzydeł. W części zachodniej funkcjonuje przedszkole, częścią wschodnią na piętrze dysponuje Gminny Ośrodek Kultury i Sportu, na jej parterze zaś znajduje się *Galeria Dworek* oraz reprezentacyjna sala obrad Rady Gminy Tokarni.

– Niezwykłości w tym dworze znajdziemy wiele – mówi nasz rozmówca i zaprasza na górne piętro, gdzie znajduje się *Pracownia na Piętrze*. To miejsce pełne ciepłych kolorów, sala malarstwa, rysunku i rzeźby stworzona przez niezwykłych pedagogów Ryszardę i Kazimierza Gaździckich. To azyl dla młodych artystów z naszej gminy, którzy pod ich okiem doskonalą swoje umiejętności artystyczne.

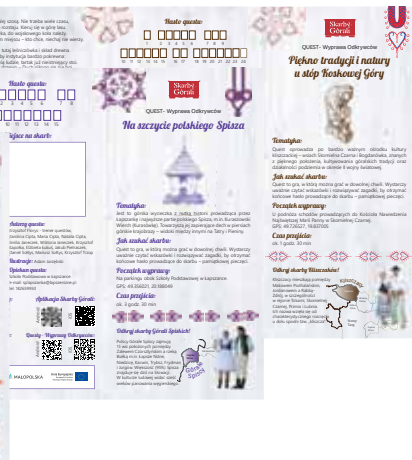
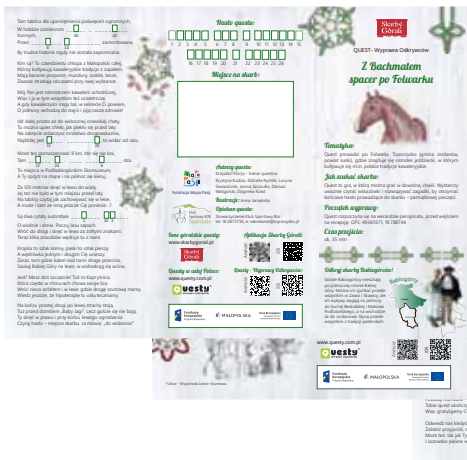
– Tworzymy grafiki, linoryty, kolaże, wkłęsłodruk. Posiadamy prasę do grafiki oraz tkane gobeliny – opowiada Ryszarda Gaździcka. Następnie pokazuje nam Izbę Dworską, w której należne miejsce znalazły książki, lampy naftowe, kredens, pianino, szable z epoki, obrus sprzed 150 lat. O wszystko Pani Ryszarda starannie dba, czyści i pielęgnuje.

Znajduje się tam też Izba Regionalna, a w niej stare sprzęty codziennego użytku mieszkańców wsi, narzędzia rolnicze, ubiór codzienny czy też naczynia. Naszą uwagę zwraca również makieta starego, drewnianego kościółka – rzeźba miejscowego artysty ludowego Józefa Wrony, oraz sutanna śp. ks. Jana Macha, proboszcza tutejszej parafii w latach 1961-1998, wielkiego miłośnika kultury ludowej.

– To miejsce tworzy miłą dla oka i ducha całość, przenosi nas w minioną epokę i zostaje w pamięci odwiedzającego – podkreśla dyrektor. Schodząc, mijamy małą galerię rzeźb gipsowych i stajemy w obszernej sali, gdzie znajduje się wystawa malarstwa na szkłe Zdzisława Słoniny. Tutaj odbywają się wernisaże lokalnych twórców ludowych. Do tej pory zrealizowano kilkanaście wystaw, od artystów profesjonalnych po rzeźbę ludową, ikony czy wystawy fotograficzne. Odbywają się tu również spotkania z cyklu Strażnica Kultury, na które zapraszani są historycy, pisarze, artyści, taternicy, a także realizowany jest program „Dwóch na jednego”.

Opuszczając dwór, dawną siedzibę rodu Targowskich, mijamy park, ozdobiony ponadstuletnimi modrzewiami.

Odkryj góralskie skarby!



Pobierz
aplikację mobilną
Skarby Górali



www.skarbygorali.pl



Góralczyzna kojarzy nam się niezmiennie z Podhalem i Zakopanem, tymczasem w górzystych rejonach południowej Małopolski możemy spotkać jeszcze osiem innych grup górali, z których każda ma swoje tradycje, stroje, pieśni, gwarę, legendy, tańce i postacie. Niematerialne dziedzictwo południowej Małopolski jest niezwykle bogate i różnorodne, ale wciąż mało znane. Postawiliśmy sobie cel, by nie tylko je udokumentować, ale także opowiedzieć o nim w sposób przystępny i ciekawy. Dlatego właśnie do tworzenia tej opowieści zaangażowaliśmy przede wszystkim miejscową młodzież, lokalne ośrodki kultury, szkoły i stowarzyszenia. Jednym słowem tych, którzy tę kulturę dziś tworzą i będą ją przekazywać dalej. Tych, którzy z dumą mogą powiedzieć: „jestem stąd!”.

Anna Jarzębska, Fundacja Mapa Pasji



www.skarbygorali.pl

ISBN 978-83-956959-1-9



Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego

